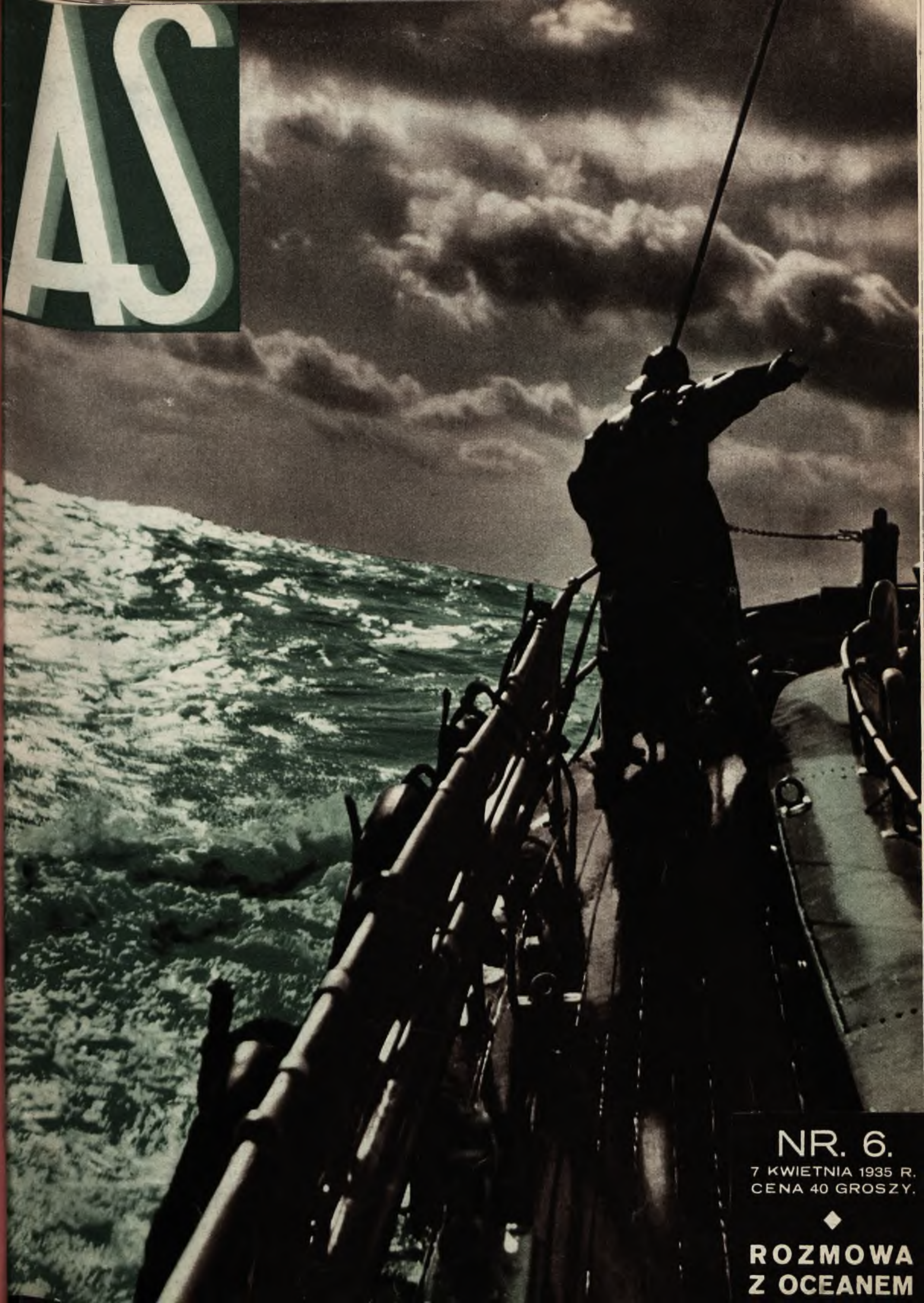
AS



NR. 6.
7 KWIETNIA 1935 R.
CENA 40 GROSZY.

ROZMOWA Z OCEANEM



radosna nowina





Więc naprawdę? To nie plotka?
Bo słyszałem dziś na mieście,
Że niebawem coś nas spotka...
(Ale co?! Powiedz pan wreszcie!).

★

Mówił mi pan radca Bączek,
Gdyśmy opuszczali łaźnię,
Że gdy nagle pęka pączek...
(Jaki pączek?! Mów wyraźniej!)

★

A w cukierni doktór Grypko,
Płacąc za pół czarnej kawy,
Twierdził, że nadchodzi szybko...
(Mów-że prędzej, bom ciekawy!)

★

Zaś w tramwaju, moja pani,
Rozmawiali dwaj panowie,
Że już jest u Polski granic...
(Ale kto? Czy się dziś dowiem?!)

★

Niech mi ludzie co chcą bają,
Ja mam oczy, widzę przecie!...
Słyszę przecież, że już grają
Pieśni najpiękniejsze w świecie!

★

Patrzę, słucham... A w mej piersi
Serce (krótko mówiąc) rośnie!
Wieść tę Wam zwierzymy pierwsi:
—WIOSNA IDZIE! Już przedwiośnie!

Jurek Bajdurek



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66.
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy.

Numer 6 **Niedziela 7 kwietnia 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 6-GO:



Fot. Scherl — Berlin.

Nad miastem Wichita w stanie Kansas A. P. szalała w ostatnim czasie olbrzymia burza piaskowa, podczas której cztery osoby poniosły śmierć, a wielu mieszkańców odniosło rany. Na zdjęciu horyzont przysłonięty masami unoszącego się w powietrzu piasku.

HALLO!

Czy mówi się dalej?

— Hallo! panno Halino... jak pani mogła coś podobnego zrobić. Przyjeżdżam do Warszawy, aby się z panią spotkać, a pani tymczasem wyjeżdża sobie do Zakopanego.

— Oczywiście — ja i zima wróciłyśmy...

— A tu tymczasem przyjechał lord Eden.

— Co za jeden?

— No ten lord od prywatnej pieczęci.

— Komornik?

— Nie, minister. Przyjechał do Warszawy w sprawach politycznych...

— Więc to jest minister spraw zagranicznych?

— Nie, lord prywatnej pieczęci... Simona, ministra spraw zagranicznych nie przywiózł. Powiedział: „Do Tuły nie jedzie się ze samowarem". Tam gdzie jest Beck i Szembek, Simoneк nie ma co robić... Proszę pani, tylko teraz drżę, żeby Eden nie powiedział czegoś złego o naszem ciele dyplomatycznem, o naszem corps de diplomatie...

— No i jakie wrażenie zrobił na panu ten Anglik?

— Jak najlepsze... wysiadł z wagonu i wita się z Wieniawą...

— Tym ministrem kultury ciała?

— Nie, generałem. I powiada, nie mogłem się doczekać przyjazdu do Warszawy. W Moskwie częstowali mnie baletniczkami, ale ja tyle dobrego słyszałem o waszym balecie...

— Od kogo?

— Oczywiście od Lifara. Ale nie mówmy o zakulisowych sprawach naszej polityki. Dyplomacja jest trudniejsza, niż sztuka choreograficzna. Trzeba tańczyć wśród mieczów — i to coraz to z inną partnerką. Niema to, jak być synem królewskim! Taki książę Gloucester, trzeci syn króla angielskiego, jeździ po świecie jak zwykły turysta; a taki biedny minister, to nie dośpi, nie pości, musi jeść i pić. I nigdy nie wiadomo, gdzie będzie spał. Taki minister-wieczny tułacz...

— A co poza tem słychać w Warszawie?

— Tuż przed przyjazdem Edena paliło się w M. S. Z-cie...

— No pewnie! tam tyle teraz papieru...

— I tylu ludzi łatwo-zapalnych. Ale na szczęście ugasili...

— Co pragnienie? Pewnie szampanem, jak w Moskwie...

— Nie, ogień. Ale mówmy o rzeczach weselszych. Byliśmy już otwartym balonem u progu stratosfery. Burzyński wzniósł się na balonie „Toruń" na 9.500 metrów...

— A to świetnie... nareszcie jakieś bezpieczne miejsce na ziemi, tam chyba gazy trujące nie dojdą...

— Ach pani Halino, jak bardzo chciałbym polecieć do stratosfery...

„Panie Liwszyc, ja pana znam... balonu stratosferycznego panu się zachciewa, a piątego ma pan płatny weksel... ja pana tam też znajdę...

— To pomyłka, ja nie jestem pańskim dłużnikiem...

„Życie mi pan jest winien, panie Liwszyc, w balonie możesz sobie pan bujać, ale nie mnie... gdyby nie to, że jest teraz dzień dobroci dla zwierząt, to jabym pana dawno zamordował...

— Niech pan nie przeszkadza. Panno Halino! właśnie wystawiliśmy w Berlinie...

— *„Weksel z pańskim podpisem, panie Liwszyc.*

— Panie, panie, a wie pan, kto wymyślił weksle?

— *„Nie, panie Liwszyc...*

— Hitler, żeby można było żydów na pożyczki naciągać. Panno Halino już się wyłączył. A to natręt. Otóż w Berlinie wystawiliśmy 700 obrazów. Hitler był zachwycony. Powiedział, że czuje się, jak stary koń wojskowy, który usłyszał znowu pobudkę. Gotów sam chwycić za pendzel i malować na wystawę sztuki niemieckiej w Warszawie...

— A czy Matejki „Hołd pruski" też tam posłali?

— Niestety, ten obraz nie mieści się w ramach naszego traktatu przyjaźni, który jest obliczony, jak pani wie na... *„Trzy minuty! Czy mówi się dalej?"*.

— A co słychać w Paryżu?

— Strajk studentów medycyny. Nie chcą, aby Francuzi umierali z ręki lekarzy-cudzoziemców. W dzielnicy łacińskiej odbył się wielki pochód, niesiono m. in. transparenty: „Nie pozwolimy cudzoziemcom żerować na francuskim raku", „Leczenie naszej gangreny społecznej należy tylko do lekarzy krajowców", „Lepsza śmierć z ręki



Powitanie ks. Gloucester (x) przez lorda majora Londynu, w obecności dworu i rządu.



Pożar w pałacu Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie.

HALLO!

Czy mówi się dalej?

francuskiego lekarza, niż życie z ręki cudzoziemca“...

— Życie z ręki... Nie rozumiem...

— Ach to jest przenośnia! U nas też zanosi się na strajk medyczny... Pacjenci ubezpieczalni powiedzieli sobie, że będą umierać na własną rękę. Precz z etatyzacją śmierci — tu powinna kwitnąć prywatna inicjatywa. Mój przyjaciel był wczoraj u lekarza i pyta się, na co jest chory. A lekarz mu na to: „Zobaczymy przy sekcji...“ Ale wracajmy do naszych przyjaciół Francuzów. Bawiła w Warszawie i Krakowie niejaka pani Camille. Doszła ona do wniosku, że Kraków jest najbardziej zepsutem miastem pod słońcem..

— A widzi pan, czyli taki „mały Paryż“...

— Ależ to z palca wyssane. To poprostu „zawiść konkurencyjna“. Jeśli wszystkie miasta Europy ulegną zepsuciu, to kto będzie jeździł do Paryża?... Wogóle cudzoziemki mają dziwne pretensje do Krakowa. Niedawno rozmawiałem z pewną Amerykanką, która przez parę tygodni mieszkała w Krakowie, w pobliżu placu Marjackiego. Pytam się jej, jak się jej podobało? „Bardzo — mówi — tylko nie mogłam sypiać. Jakiś dżentelmen co godzinę ćwiczył na trąbce...“

— A co słychać w sporcie?

— Odbył się pierwszy mecz ligowy. Legja pobiła Wisłę.

— Ach ta Warszawa... bramki Krakowowi zabiera, jeszcze Bramę Florjańską zabierze... A jak w Krakowie obchodzono rocznicę przysięgi Kościuszki?

— Prezydent miasta złożył wieniec z napisem: „Kościuszce — Kaplicki“. A jednak dobre było to powiedzenie: „I władzy danej mi przez naród na niczyj prywatny ucisk nie użyję“. W Warszawie właśnie nowy rząd składał też przysięgę. A cóż, panno Halino — ani historja nie lubi się powtarzać, ani ludzie nie lubią powtarzania słów historycznych. — Ale, czy słyszała pani, że premjer Sławek się żeni?

— To on chyba popełnia bigamję.

— Jakto... przecież jest kawalerem.

— Niemożliwe, słyszałam, że jest on mężem opatrzności...

— Ale są też sprawy u nas, które są tylko na łasce opatrzności. Kpt. Lepecki w swym reportażu o Persji pisze, że w Persji osły zostały w zupełności wyparte przez automobilizm... W Polsce... wręcz przeciwnie...

— Wogóle u nas teraz wszystko chce się zwijać. W Łodzi większość w radzie miejskiej chce zwinąć teatry i wolną wszechnicę.

— Zupełnie słusznie; Warszawa jest tak blisko! jak chcą zobaczyć w teatrze jakiegoś „Nieoczekiwanego matołka“, to niech siadają na „Lux-Torpedę“ i jadą do Warszawy...

— Jabym wolał pojechać do Ameryki. Tyle tam teraz sensacyj. Jean Harlow, ta platynowa blondynka, opuszcza „blok platynowy“, gdyż wychodzi zamąż za króla miedzi i będzie miała rude włosy. Ford zakłada dancing. Podobno mimo swych 72 lat cudownie tańczy. Bandytom w Chicago udało się wreszcie schwytać i osadzić w więzieniu kilku najniebezpieczniejszych policjantów, którzy swą strzelaniną do spokojnie pracujących gangsterów nękali ludność miasta. „Biały Dom“ zmienia kolor — na „Szary Dom“. Pozatem zebrał się kongres „Ligi dobrej woli“, która obraduje nad tem, jak uczynić lynch bardziej humanitarnym. Ale to się nie uda...

— To tak, jak z reformami małżeńskiemi.

Chciałbym się koniecznie z panią spotkać... ale gdzie...

— A więc dobrze. W niedzielę będę w Krakowie... Przyjeżdżam na ogólnopolski zjazd Pań Domu...

— A nad czem będzie obradował ten zjazd?

— Przedewszystkiem na temat: „Mąż, jako cichy wspólnik szczęścia małżeńskiego“, dalej: „Czy należy całować panie po rękach?“

— A dlaczego niema w Polsce „Związku panów domu“?

— Panie Henryku! Znowu tylu bohaterów to u nas niema. A kawalerowie mają czas myśleć o tego rodzaju związkach...

— *Dziewięć minut! Czy mówi się dalej?*

— *Nie! Dalej to dopiero za tydzień...*

Mikrofon.



Fragment meczu Legja — Wisła w Warszawie.

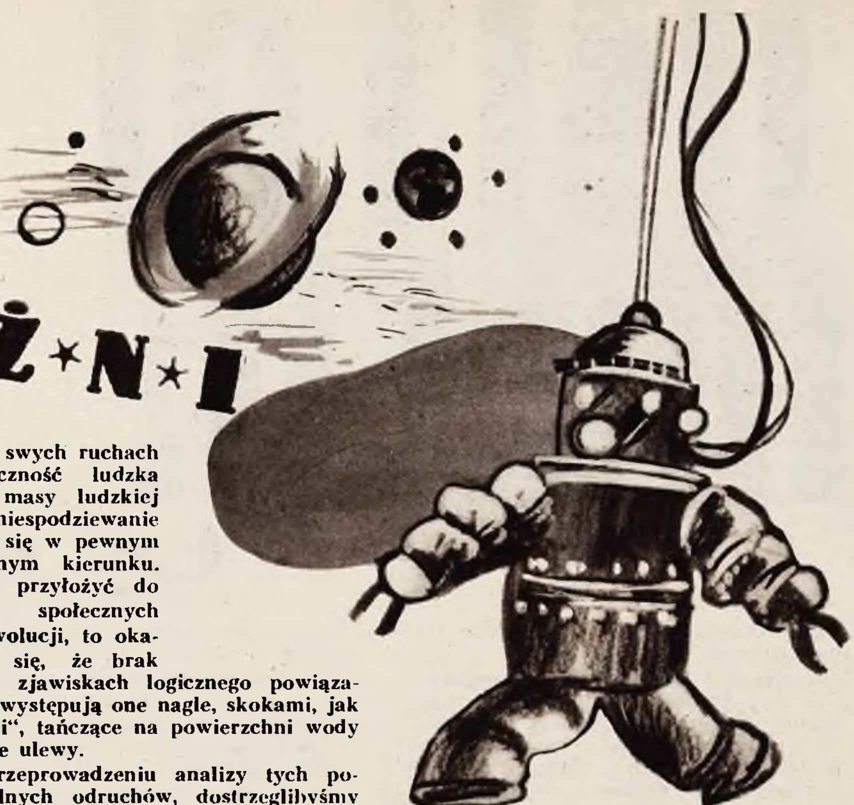


Ford tańczy z uczenicą szkoły, której jest fundatorem.



Nowy premjer, Walery Sławek u Prezydenta R. P. Prof. Mościckiego.

ŻYCIE W PRÓŻNI





Ludzkość jako zbiorowość żyje wedle swoistych praw, uzewnętrzniających się w masowych ruchach, podświadomych dążeniach grup i zbiorowisk społecznych, jak również w nastrojach masowych, które sprzyjają przyjmowaniu się nowych prawd, haseł oraz idei. Socjologowie, badacze zjawisk zbiorowego życia ludzkości, stają nieraz przed tajemniczemi zagadkami, nie mogąc zdać sobie sprawy z tego, dlaczego takie, a nie inne formy przyjmuje w swych ruchach i dążeniach społeczność ludzka i dlaczego dążenie masy ludzkiej nagle i zupełnie niespodziewanie zwraca się w pewnym określonym kierunku. Jeśliby przyłożyć do zjawisk społecznych linję ewolucji, to okazałoby się, że brak w tych zjawiskach logicznego powiązania, że występują one nagle, skokami, jak „chłopki", tańczące na powierzchni wody w czasie ulewy.

Po przeprowadzeniu analizy tych poszczególnych odruchów, dostrzeglibyśmy ze zdziwieniem, że mają one wszystkie swój głęboki sens, że łączą się w wielką harmonijną, logicznie skonstruowaną całość. Nie mamy zamiaru jednak pisania rozważań na temat zjawisk społecznych, ani też analizowania społecznych ruchów. Uwagi powyższe notujemy tylko celem zwrócenia uwagi Czytelnika na tajemnice, których zbadanie doprowadzić nas może do poznania niejednej prawdy, ważnej dla dalszych losów ludzkości.

Maska, która chroni płuca człowieka przed zgubnym wpływem rozrzedzonego powietrza.



Przelot angielskiej ekspedycji samolotowej nad masywem Nanga Parbat w Himalajach.

Jeżeli analizować będziemy wysiłki umysłu ludzkiego na przestrzeni wielu wieków, jeżeli przypatrzymy się bliżej dziełom, przez umysł ludzki stworzonym, to dojdziemy do ciekawych prawd. Pierwszą z nich będzie, że człowiek wiedziony podświadomym instynktem, świadomie stara się rozszerzyć zakres możliwości swojego działania, stwarzając coraz to nowe narzędzia pracy, ulepszające i rozszerzające ludzki organizm. Ulepszyliśmy wzrok nasz teleskopami i mikroskopami. Patrzymy na mikro- i makrokosmos, wnikamy w najtajniejsze szczegóły konstrukcji olbrzymiego świata, wydzieramy niebu i ziemi ich tajemnice. Rozszerzyliśmy i udoskonaliliśmy nasze zmysły i narządy. Dziś słuchamy koncertów, dawanych po przeciwnej stronie ziemi, poruszamy się z chyżością orkanów i burz; do ramion przypięliśmy skrzydła i wznosimy się coraz wyżej ku słońcu. Ustokrotniliśmy nasz głos, który dziś, niesiony na falach eteru, sięga poza orbitę ziemi, aż na dalekie gwiazdy. Świat zaczyna być dla człowieka za ciasny.

Aczkolwiek zwykło się mówić, że najbardziej bezsensownem pytaniem jest słowo: „dlaczego?" — to jednak mimowoli py-

tanie takie stawiamy, patrząc na zbiorowy wysiłek mas ludzkich, na tragiczną walkę przodowników gromad ludzkich, toczących nieustępliwy bój na drodze, wiodącej do przeczuwanej prawdy. Zakres naszego poznania rozszerzamy ciągle i ciągle go pogłębiamy.

I poco to wszystko? Poco niespokojny duch ludzki stara się zbadać głębie oceanów? — Poco każe człowiekowi wspinać się na najwyższe szczyty górskie i wzlatywać ponad nie, daleko poza granice błękitu?

Zazwyczaj na to pytanie mamy odpowiedzi łatwe, blisko nas leżące, odpowiedzi praktyczne, trzeźwe. Ale trzeba być jednak w życiu romantykiem. Trzeba wychodzić dalej poza zakres, wyznaczony „mędrca szkiełkiem i okiem". Należy pogłębiać istotę zagadnienia i rozszerzać je nawet poza dopuszczalne granice, rozszerzać fantazją, możliwie niczem nie krępowaną, fantazją, która jest niczem innem, jak tylko najbardziej tajemniczą sferą ludzkich przeczuć.

Okres dzisiejszy w rozwoju kultury i cywilizacji ludzkiej, dałby się zamknąć w haśle olimpijskiem: „*Citius! Altius! Fortius!*" — szybciej, wyżej, śmielej! Te hasła uzewnętrzniają się przedewszystkiem w wielkiem usportowieniu mas, w masowym pędzie do nadzwyczajnych wyczynów, zarówno zbiorowych, jak i indywidualnych. To ogólne zjawisko uzewnętrznia się w słowach: automobilizm, lotnictwo, turystyka wysokogórska, żegluga i t. d. i t. d.

Dzień dzisiejszy stoi pod znakiem hasła: „wyżej!".

Przedewszystkiem pęd w góry, chęć zdobywania nietkniętych dotąd ludzką stopą wyżyn, stały się drugą naturą współczesnego człowieka.

Trudno notować wszystkie wyczyny ostatnich czasów. Pamiętamy tragiczne wyprawy w Himalaje. Do tej pory niespokojnemi myślami szukamy śnieżnej mogiły tych, co na ostatnim załomie skalnym, tuż pod szczytem Ewerestu młode położyli życie. Pamiętnemi są wyprawy na niebotyczne Andy, na Pamir, na wiecznym śniegiem i lodem pokryte góry Alaski, na niebotyczne i poszarpane wierchy afrykańskie, azjatyckie, amerykańskie i australskie.

Ale na szczytach olbrzymów górskich nie kończy się ludzka tęsknota. Wprawdzie słońce tam bliższe, niż na dolinach, wprawdzie niebo tam czystsze, niż to, które oglądamy z nizin, wprawdzie tam inny i cudowniejszy świat, ale dusza ludzka tęskni i wyrywa się w międzygwiezdną przestrzeń, tam, gdzie po zawrotnych orbitach krążą obłąkane włóczęgi-komety, tam, gdzie się rodzi kosmiczny grad meteorów i gdzie panuje wieczysta cisza.





W kole: Kamera pneumatyczna, w której wytwarza się sztucznie warunki temperatury, ciśnienia powietrza, wilgoci i promieniowania, analogiczne do tych, jakie istnieją w stratosferze. — Na lewo: Skafander dla nurków, którzy pracują na znacznych głębokościach.







Od lewej: Prof. Piccard. — Dr Kipfer. — Lotnik Willey Post



Na lewo: Willey Post w skafandrze lotnika stratosferycznego

Rozpoczynają się romantyczne loty do stratosfery. Genjusz ludzki przypina do ramion skrzydła i wznosi nas, coraz wyżej ponad szarą ziemię. Niejeden Ikar upadł w tej wędrówce na wyżyny z pod stropu niebios; ale tych Ikarów przybywa coraz więcej, coraz więcej z nich przystraja skronie laurem zwycięzcy.

Człowiek, czytający depesze o wyczynach Piccarda, Cosynsa, Kipfera, lotników sowieckich, czy ostatnio jednookiego Indjanina, Willey Posta, nie zastanawia się nawet, jak wielkie trudności do zwalczenia mają ci, co zdobyć chcą wyżyny...

Jedno tylko powiedzieć można: Na stromych ścieżkach, wiodących w górę ku słońcu, za każdym załomem czyha śmierć! Ta śmierć sygnalizuje swą obecność rożnemi przejawami. Otarł się o nią po raz pierwszy Saussure w r. 1787 w wyprawie na Mont Blanc. Tam, na lodowych przełęczach i granitowych turniach chwytała śmiałków za gardło, pozbawiała ich tchu, napawała lękiem, apatją, nękała ciało bolami głowy, bezsennością, nudnościami, szrpała duszę rozdrażnieniem i uczuciem niemocy.

Ten sygnał śmierci znamy dziś pod nazwą „choroby górskiej". Wiemy, że kościste palce śmierci potrafią zacisnąć się mocno na śmiałku i pozbawić go na wyżynach życia. Tragicznie zapisał się w r. 1875 pierwszy wzlot balonem na zawrotną wysokość, dokonany przez nieustraszonego Tissandiers'a.

Bo tam, na wyżynach, coraz mniej powietrza, potrzebnego ludzkim piersiom. Płaszcz powietrzny, okrywający ziemię, jest nie tylko w miarę wznoszenia się w górę coraz to cieńszy, ale i uboższy w ciśnienie. To ciśnienie spada o wiele szybciej, niż gęstość powietrza, która jest następstwem nie tylko ciśnienia, ale także temperatury, obniżającej się bardzo wydatnie przy znaczniejszych wysokościach, a spadającej na wysokości 5.500 m. przeciętnie poniżej połowy normy temperatury, panującej u podnóża.

Po tragedji towarzyszy Tissandiers'a w r. 1877 francuski fizjolog Paul Bert począł iść tropem śmierci, czyhającej na śmiałków na wyżynach i porobił rewelacyjne odkrycia. Ustalił przedewszystkiem spadek ciśnienia tlenu na znacznych wysokościach, który dochodzi poniżej normy ciśnienia, potrzebnej do utleniania hemoglobiny we krwi. Coraz mniej tlenu mogą wchłaniać umęczone płuca śmiałków, coraz mniej życia wpływa w ludzki organizm z oddechem. — Aż wkońcu nadchodzi kres...

Organizm ludzki jest wrażliwy na różnice w ciśnieniach tlenu. Wprawdzie u zdrowego człowieka niema widocznych objawów chorobowych przy wznoszeniu się do wysokości około 3.000 m, jednak przy użyciu odpowiednich aparatów pomiarowych dają się wykryć i ustalić skutki braku

(Dok. na str. 50-tej).



Amerykański balon stratosferyczny, który po eksplozji opada z szybkością 30 mtr. w minucie.



Bibljoteka artystki, w której poważny księgozbiór harmonizuje z przepychem wschodnich tkanin i uroczą ich właścicielką.
Fot. „As".

JAK MIESZKAJĄ SŁAWNI ARTYŚCI?

II.

Z WIZYTĄ U MIECZYSŁAWY ✶ ĆWIKLINSKIEJ



Fragment pokoju stołowego artystki, w którego urządzeniu uwydatnia się szczególnie wykwintny smak pani domu.
Fot. „As".

W słoneczne południe przedwiośnia, wybieram się do znakomitej artystki dramatycznej p. Mieczysławy Ćwiklińskiej, zamieszkałej w Warszawie, przy ul. 3-go Maja w jednym z najnowszych domów na VII piętrze.

Już sam wybór dzielnicy i niezwykle pięknie położonego domu, świadczy o wielkim smaku i kulturze artystycznej przemiłej bohaterki naszej sceny.

Jak wiadomo — Warszawa rozbudowała się tyłem do Wisły. P. Ćwiklińska znalazła jednak mieszkanie, leżące frontem do królowej rzek polskich. Obszerny taras obiega półkolem mieszkanie artystki, w którem większość pokoi połączona jest z tarasem, skąd rozpościera się przepiękny panoramiczny widok na Pragę i Park im. Paderewskiego, opasany srebrzystą wstęgą Wisły. Oczy Warszawianki, zamieszkałej w zamkniętej dzielnicy śródmieścia, rozkoszują się ogromem przestrzeni i wybiegają hen daleko.

A wnętrze mieszkania? To przemiłe królestwo wykwintnego kobiecego smaku, w którem wszystko jest przemyślane artystycznie począwszy od umeblowania, a skończywszy na cennych bibelotach i bibljotece artystki.

P. Ćwiklińska — jak wiadomo — całe życie coś studjuje! Przypominamy sobie jej poważną pracę muzyczną w Paryżu i jej karjerę śpiewaczą. Wybór książek jej bibljoteki świadczy, iż wielka artystka utrzymuje ciągły kontakt z życiem intelektualnem i wie, iż poza talentem, oraz aktorską intuicją konieczną jest ustawiczna praca nad sobą w celu pogłębienia znajomości życia, którego zwierciadłem jest teatr. Salon p. Ćwiklińskiej, to już jeden z ostatnich Mohikanów współczesności. Zespół przedmiotów, umiejętne połączenie starych stylów z współczesną żywością barw licznych tkanin, wytwarzają przemiły nastrój odpowiadający charakterowi gospodyni, z której twarzy nigdy nie znika jakiś charakterystyczny japoński uśmieszek. Jako urodzona Warszawianka, p. Ćwiklińska urządziła swój salon w stylu empirowym. Piękne linje mahoniowych mebli tworzą szlachetną sylwetkę na tle puszystego, francuskiego dywanu z epoki cesarstwa. Pokój stołowy posiada swój odrębny nastrój, jaki dają poczciwe polskie czeczoty, harmonizujące z jasno-zielonym kolorytem ścian. Pięknie upięte muślinowe firanki, stara ceramika, wytworne kryształy i nasycony barwami kilim wytwarzają łagodny, swoisty, harmonijny nastrój. W gabinecie artystki znajduje się warsztat jej pracy teatralnej, zwierciadło trójskrzydłowe poważnych rozmiarów.

Ono jest codziennym świadkiem drobiazgowej i subtelnej pracy artystki przygotowującej rolę przeróżnych lwic salonowych, wzbudzających taki entuzjazm dziesiątek tysięcy adoratorów i adoratorek talentu wielkiej artystki, która po baronowej Żmurko-Lidowej objęła berło wytwornej damy na polskiej scenie.



Mieczysława Ćwiklińska przed lustrem w swym buduarze.
Fot „As".

Na tle tego mieszkania, uchodzącego w Warszawie za jedno z najwykwintniejszych, uwydatniają się wdzięki i czar kobiecy gospodyni, wyraziściej, intymniej, niżli w teatrze.

Nic dziwnego, iż p. Ćwiklińska najlepiej czuje się u siebie w domu, gdyż ten dom stanowi odbicie jej indywidualności i tylko tu znajduje tak należne jej krótkie chwile odpoczynku. P. Ćwiklińska jest w ustawicznym ruchu i w ciągłej pracy. Rano próby, wieczorem przedstawienie, a w nocy dochodzą jeszcze często nakręcania filmów!... Urocze mieszkanie jest jedyną ucieczką od gwaru i hałasu.

Przeglądając kolekcje obrazów zwracam uwagę, iż niema ani jednego jej portretu, poza szkicem Wacława Borowskiego. — Na to otrzymuję odpowiedź, iż miała wiele udałych portretów, lecz niestety wszystkie przepadły w Paryżu, w czasie rozmaitych perypetyj przeprowadzkowych.

Szkoda, gdyż p. Ćwiklińska stanowi nader ponętny model dla malarza, który tak samo jak i jej liczni wielbiciele zachwycić się musi czarem tej wielkiej artystki, będącej uosobieniem pogody charakteru i subtelnego kobiecego wdzięku.

Dziękując przemiłej Gospodyni za gościnę, opuszczam z żalem to minjaturowe królestwo wdzięku i wykwintu.

K. D.

ROCHELLE HUDSON
wschodząca „gwiazda" amerykańskiego filmu



AS MUZYKI MÓWI:

„Najdramatyczniejszy moment w mem życiu“



...nagle na morzu zerwał się orkan...

Prof. Ludomir RÓŻYCKI

Znakomity kompozytor, prof. Ludomir Różycki, twórca wielu dzieł muzycznych, bawił ostatnio w Stanisławowie, gdzie na zaproszenie obywatelskiego komitetu obchodu imienin Marsz. Piłsudskiego wziął udział w uroczystym koncercie.

Kompozytor „Erosa i Psyche“, opery, wystawionej przed kilkoma tygodniami z ogromnem powodzeniem w Operze Królewskiej w Sztokholmie, któremu pokazuję numer tygodnika „As“ z fotografją z premjery w stolicy Szwecji, wyraża się z zachwytem o pięknie wykonanej planszy, jakoteż efektownej szacie i treści „benjaminka“ Koncernu „IKC“. Prof. Różycki okazuje przytem duże zainteresowanie dla ankiety „Najdramatyczniejszy moment w ich życiu“. Korzystam więc ze sposobności i proszę, by i on coś opowiedział Czytelnikom „Asa“ na ten temat.

Odpowiedź otrzymuję dopiero nazajutrz.

— Najdramatyczniejszy moment w mem życiu? — W pierwszej chwili, gdy mnie Pan wczoraj o to zapytał, nie wiedziałem naprawdę, który moment w mem życiu był właśnie takim. Po zastanowieniu jednak przypomniałem sobie — ciągnie miłym głosem nasz rozmówca, — że momentów takich miałem w życiu kilka. Jeden z nich szczególnie utkwił mi w pamięci...

— Było to jeszcze przed wojną. Pamiętam, jechałem razu jednego statkiem dwuśrubowym z Porto-Rose do Wenecji. Tam zdarza się często, że w czasie pięknej pogody, niebo niespodzianie zaciąga się chmurami i zrywa się wiatr, który nosi nazwę bora. Wzburzone fale szerzą wówczas panikę i często spustoszenie.

— Owego dnia wyjechaliśmy przy względnie pięknej pogodzie. Nagle na morzu zerwał się bora. Nadomiar złego w statku pękła śruba. Podmuchy wiatru rzucały statkiem naszym na wszystkie strony Na okręcie rozgrywały się dantejskie sceny. Kobiety i dzieci z lamentem i płaczem padały na kolana, modląc się żarliwie. Wszyscy byliśmy wówczas przekonani, że nadeszła nasza ostatnia godzina. Przeżyłem wówczas okropne chwile. Po siedmiu godzinach tych męczarni, morze uspokoiło się. Dziś upłynęło już wprawdzie tyle lat od tego dnia, mimo to jednak w pamięci mej nie zatarły się przeżycia tej podróży.

— Czy te przeżycia znalazły wyraz w twórczości pana profesora?

— Przyznam się panu, że tak. Niedługo bowiem potem napisałem szereg pieśni z których szczególnie jedna, zatytułowana „Italia“, jest wierną ilustracją dramatu, jaki wówczas rozegrał się na morzu.

— Przypominam sobie jeden jeszcze dramatyczny moment mego życia, kiedyto po długiej tułaczce zagranicą powróciłem do Zmartwychwstałej Ojczyzny. W parę dni po moim przyjeździe do Warszawy odbyła się eksportacja zwłok Henryka Sienkiewicza. W czasie, gdy żałobny pochód ciągnął ulicami stolicy, siedziałem w jednem z okien na Krakowskiem Przedmieściu. Przedemną roztaczał się przepotężny widok: kondukt, który na tle kościoła św. Krzyża posuwał się powoli przy dźwiękach licznych dzwonów. To wrażenie wzrokowe i dźwiękowe wywołało w mej duszy bardzo silne przeżycie. Pod jego wpływem skomponowałem potem, pisząc operę „Beatrix Cenci“, jeden jej fragment, przedstawiający Beatrix, prowadzoną na śmierć przy akompaniamencie silnego bicia dzwonów.

— Przypominam sobie inne jeszcze, dość zresztą humorystyczne przeżycie z lat najmłodszych, które kto wie, czy nie zaważyło na szali mego życia.

— Liczyłem wtedy jedenaście lat. Początków gry na fortepianie uczył mnie profesor Ciszewski, człowiek zwarjowany na punkcie opery. Ponieważ niejednokrotnie nie miał pieniędzy na bilet wstępu, urządzał się dość sprytnie, dostając się za kulisy przez kogoś ze znajomych. Pamiętam, gdy raz wystawiali operę Meyerbeera „Robert Djabeł“, Ciszewski zabrał mnie wtedy po raz pierwszy ze sobą do teatru. Nie mając pieniędzy, zaprowadził mnie za kulisy. Wrażenia z tego wieczoru zaważyły napewno na całej mojej twórczości. Po raz pierwszy bowiem w mem życiu oglądałem operę i to nie od strony widowni, ale od strony, że ją tak nazwę, twórczej.

W późniejszych latach, pisząc szkice operowe, wspominałem żywo ten może najbardziej decydujący moment w mojem życiu.

Na tych słowach prof. Różycki skończył swe interesujące opowiadanie.

Z. Jur.



Prof. Ludomir Różycki podczas lektury „Asa“. Znakomity kompozytor skreślił na fotografji następującą dedykację: „I ja też chętnie czytuję Asa, Lud. Różycki“.

PRZYGODA

I. K. VAN RATH

NOWELA

ILUSTROWAŁ A. ŻMUDA

Na czwartkowej herbatce u państwa Hipolitów zebrało się liczniejsze towarzystwo. Pan domu Hipolit Arlik, dyrektor dobrze prosperującej spółki handlowej, ogromnie dbał o to, by przyjęcie wypadło jak najokazalej. I tym razem była to raczej wspaniała biesiada, niż „skromna herbateczka", którem to określeniem lubiał pan dyrektor nazywać zebrania w swoim domu.

Goście rzeczywiście bawili się swobodnie, a pan Hipolit co chwilę zachęcał do konsumowania specjałów, któremi zastawiony był stół.

— Może jeszcze herbateczki! A może kanapeczek? Wyborne!

Towarzystwo jednak, zwłaszcza płeć piękna, poświęcało uwagę głównie młodemu porucznikowi, siostrzeńcowi gospodarza, mało respektując kulinarne zachęty pana Hipolita.

Porucznik Karol Banerciński mógł mieć lat najwyżej 25. Wysoki, zgrabny, z bujną, ciemną czupryną, o oczach niebieskich i uśmiechniętych, bawił panie anegdotkami, których zawsze mnóstwo miał w odwodzie. Właśnie skończył jedną z historyjek, z której panie zaśmiewały się do łez, gdy pan Hipolit, będący dziś w wyśmienitym humorze, podszedł do siostrzeńca i kładąc mu rękę na ramieniu, odezwał się z filuternym błyskiem w oczach:

— Opowiedz tylko Karolku, jak to tam było z tą damulką na dworcu. Wiesz, co mam na myśli!?

Karol, spojrzawszy na wujka, który znacząco mrugnął na niego, domyślił się, o co chodzi, ale jakoś nie mógł zabrać się do opowiadania.

— Może innym razem, wujaszku. To taka ponura historja. Panie napewno nie zechcą słuchać...

— Ależ owszem! Prosimy! — odezwały się jednogłośnie mamusie, a zwłaszcza ich córeczki, które wpatrywały się w pięknego chłopca, jak w tęczę.

— Ha, cóż robić! — odezwał się Karol. — Vox populi, vox Dei. Ale uprzedzam zgóry, że to smutna historja.

— No, nie wierzę znów tak bardzo — odezwała się ciocia Hipolitowa. — Nie mogę sobie wyobrazić ciebie z smutną historją. Tobie przecież zawsze tylko żarty w głowie...

— Jazda Karolu. Nie marudź. Słuchamy — dały się słyszeć głosy panów, którym już wuj Hipolit zdążył coś szepnąć na ucho.

— A więc... Było to kilka tygodni temu — rozpoczął Karol. — Wracałem późno koleją z Rybnika, gdzie bawiłem służbowo. Dostawszy się do Katowic, miałem jeszcze dobrą godzinę do pociągu krakowskiego. By jakoś zabić czas, spacerowałem sobie po peronie; nadół do poczekalni nie chciało mi się schodzić. Noc była śliczna, ciepła. Na peronie kręciło się zaledwie kilka osób. Po kilku minutach i oni gdzieś znikli, tak, że zostałem sam, naturalnie prócz kilku kolejarzy, którzy stale tam się kręcą. Przemierzyłem tak kilka razy peron tam i spowrotem, gdy nagle podeszła do mnie jakaś młoda pani, nawiasem mówiąc, bardzo sympatyczna, z małą walizką, i zapytała, czybym nie zechciał jej odprowadzić na Mikołowską. Kto był w Katowicach, ten wie, że to ulica tuż obok dworca.

— Tak! tak! Tylko ona jest strasznie długa — wtrąciła ciocia Hipolitowa.

— Miałem jeszcze przeszło 40 minut do pociągu, więc zgodziłem się chętnie. Dama wymieniła nawet numer domu, ale go wtedy nie zapamiętałem. Chwyciłem walizkę, która okazała się dość ciężką i poszedłem. Rozgadaliśmy się o tem i owem; wkońcu droga zaczęła mi się wydawać zbyt długą. Zauważyłem więc grzecznie:

— Przepraszam, ale już Mikołowską prawie całą przeszliśmy. Czy pani dobrze zna drogę?

— Ależ naturalnie — odrzekła z miłym uśmiechem. — Jeszcze tylko kilka kroków. O, widzi pan, to tamten dom, wskazała na czerniejący zdała ciemny masyw budynku.

— O ile mogłem przy lichem świetle lampy ulicznej zauważyć, była to ładna willa jednopiętrowa, o dużej żelaznej bramie. Zbliżyliśmy się do drzwi,

które otworzyła kluczem wyjętym z torebki. Postawiłem walizkę obok i chciałem się pożegnać.

— Ależ — powiada — pan mu do mnie wstąpić na herbatkę. Wypijemy tylko po szklaneczce i potem zaraz pana puszczę. Prędzej nie. Do pociągu ma pan i tak jeszcze dużo czasu. Proszę pozwolić mi na ten mały rewanż za pańską uprzejmość...

— Cóż miałem robić. Nie mogłem oprzeć się tak miłemu zaproszeniu.

Panie słuchały w skupieniu. Nawet pan Hipolit słuchał z zajęciem, gdyż było to dla niego coś nowego. Namawiając Karola do opowiedzenia historyjki o „damulce" miał na myśli zupełnie inną sprawę. Tego, co Karol teraz opowiadał, nie znał zupełnie. Ten zaś, przybierając poważną i trochę tragiczną minę, ciągnął dalej:

— Dama wprowadziła mnie po schodach na piętro, nie zapalając nigdzie światła. Przeszliśmy poomacku jeden glądać czasopisma, których mnóstwo leżało w nieładzie na stole. Ale czas zaczął mi się wydawać zbyt długim. „Jakoś długo robi się ta herbatka" — pomyślałem. Upłynęło znów kilka minut w zupełnej ciszy, przerywanej tylko przewracaniem gazet. Zniecierpliwiłem się wreszcie i spojrzałem na zegarek. Miałem jeszcze tylko 10 minut do odejścia pociągu. Podszedłem do jednych drzwi, pocisnąłem lekko klamkę... były zamknięte. Podchodzę do drugich... to samo. „Ki djabeł" — myślę sobie. Zniecierpliwiony podchodzę do trzecich, próbuję czy otwarte. Otwarte. Ale w pokoju obok ciemno.

Towarzyswto słuchało z coraz większem zainteresowaniem. Pan Hipolit, wietrząc jakąś sensację, na którą zawsze był chciwy, zastygł w bezruchu i pilnie łowił słowa, wypowiadane przez Karola.

— Wołam raz i drugi, nikt się nie odzywa. Przykręcam kontakt, by zapalić łam czemprędzej już nie wiem którą zapałkę, patrzę bliżej... trup.

— Ach! — wykrzyknęła ciocia Hipolitowa, której nerwy były napięte do ostatnich granic. Panie poczęły dyskretnie oglądać się po kątach, jakby czuły śmierć koło siebie... Nawet mężczyźni wyglądali zdenerwowani.

— Włosy stanęły mi na głowie. Nawet nie wiem, jakim sposobem znalazłem się na dole. Ale tu nowa niespodzianka. Brama zamknięta. Zdenerwowany do najwyższego stopnia myślę, jakby tu się wydostać, gdy nagle słyszę pod bramą głosy. Ktoś wkłada klucz do zamka. Usunąłem się trochę na bok, by, jak tylko bramę otworzą, móc wymknąć się na ulicę. Już miałem skoczyć, gdy nagle w świetle lampy ulicznej spostrzegłem dwóch policjantów, a z nimi moją znajomą. Zauważywszy mnie, zaraz powiada do posterunkowych:

— Oto morderca mego męża!



pokój i drugi; wszędzie ciemno, story pospuszczane...

— Jakto, nigdzie nie zapaliła światła? — zauważyła cierpko ciocia Hipolitowa. — A to ciekawe...

I mnie to troszkę zdziwiło. Ale wreszcie w trzecim pokoju, albo raczej pokoiku, przekręciła kontakt i zabłysła lampa, obciągnięta różowym abażurem. Uprzejmie podsunęła mi krzesło i kazała chwilkę poczekać.

— Proszę narazie się rozgościć — powiada — a ja pójdę przygotować herbatkę. Zaraz będzie gotowa.

— Nawet nie spostrzegłem, któremi drzwiami wyszła, gdyż prowadziło ich stąd aż troje. Posiedziawszy chwilkę, zacząłem rozglądać się po otaczających mnie ścianach... Był to miły salonik, urządzony z pewnym nawet przepychem. Ściany, obite jakąś wzorzystą materją, zawieszone były obrazami różnej wielkości. Były to przeważnie akwarele. By skrócić sobie czekanie, począłem przeświatło... nic... światła niema. Kieruję się więc przez pokój ku drugim drzwiom, które majaczeją w półcieniu... znów jakiś pokój... i znów światła niema. Zapalam zapałkę i przy jej mdłem świetle spostrzegam na kanapce pod oknem jakiś ludzki kształt. Podchodzę bliżej — jakaś osoba.

— To chyba ona — myślę sobie — widocznie chciała się zdrzemnąć i usnęła na dobre.

— Przy świetle trzeciej już zapałki uchylam lekko kołdrę, jaką była przykryta, chwytam delikatnie za ramię, gdy nagle spostrzegam, że to mężczyzna.

— Mąż! — przeleciało mi przez głowę. — Będzie awantura.

— Ale mimo wszystko postanowiłem śpiącego obudzić. Poruszam go lekko za ramię... nic. Poruszam mocniej... nic. Nachylam się nad leżącym. Jakiś blady, usta sine... Tknięty złem przeczuciem, chwytam za rękę... zimna. Zapa-

Na te słowa zupełnie zgłupiałem. Poprostu nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nałożyli mi kajdanki na ręce i środkiem ulicy poprowadzili mnie w stronę dworca.

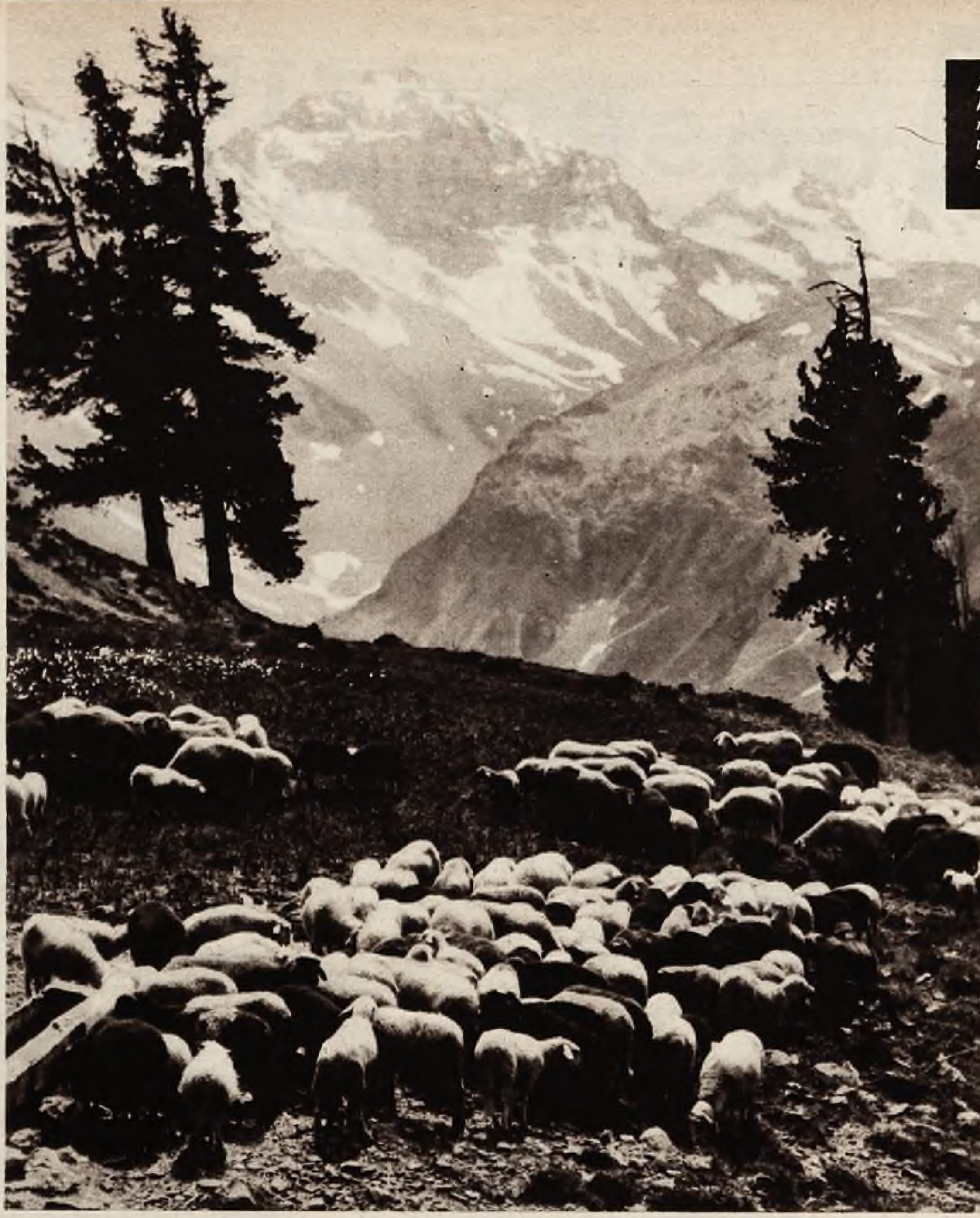
— Nie mogłeś się wytłumaczyć jakoś? Wylegitymować? — wybuchnęła ciocia Hipolitowa.

— Niestety, nie miałem żadnych papierów przy sobie. Zresztą i tak nie dali mi przyjść do słowa.

W pokoju było cicho, jakby makiem zasiał. Wszyscy powstrzymywali swe oddechy, byle tylko nie uronić jednego słowa z opowiadania. Karol spokojnie sięgnął po kanapkę, ugryzł raz i drugi, i zaczął popijać na pół wystygłą już herbatą.

— No, skończże wpierw! huknął wuj Hipolit. — Więc cię zaaresztowali? I co było dalej?

— Dalej? Nie wiem — bo się... obudziłem!



Pierwsze krokusy (na lewo) na hali Sertig u podnóża masywu Ducan w Alpach.

KROKUSY...



Piękne są górskie łąki o wiosennej porze
Kiedy gdzieniegdzie jeszcze śnieg się mieni biały,
I słońce na nim blasków jasne pali zorze —
...Świat krainą ułudy wydaje się cały.

Z pod zimnej, choć tak pięknej szaty tej śniegowej
Wyglądają ku słońcu krokusów kielichy —
Łąki od ich koloru lśnią całe liljowo.
...Wokół nastrój szczęsny, pogodny — i cichy.

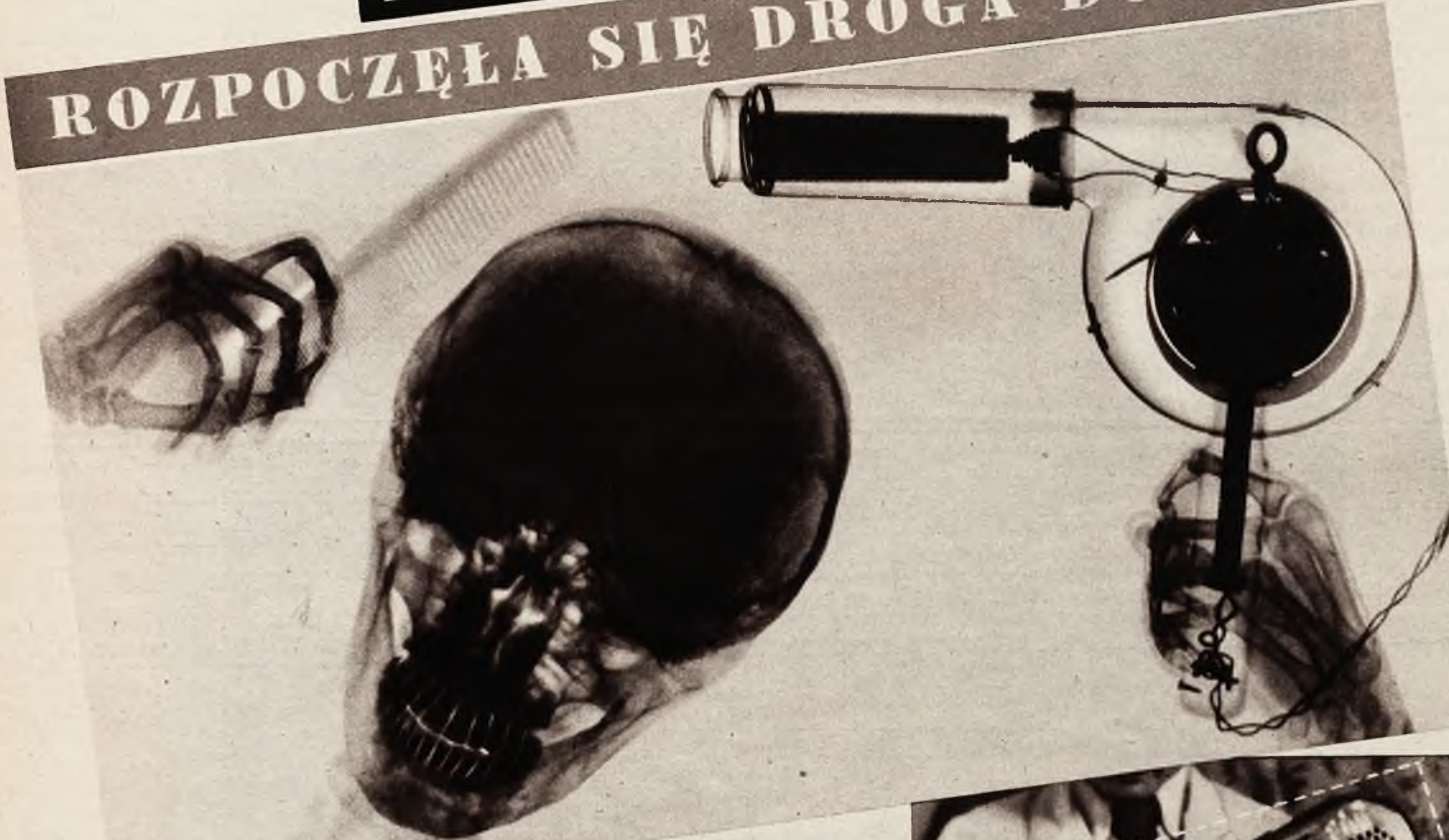
DANUTA WYRYBKOWSKA.



Na lewo: Krokusy na zboczu górskiem koło St. Moritz.

Na prawo: Pole krokusowe pod kościółkiem N. P. Marji koło Davos.

W GOSPODZIE POD „ZIELONĄ SZKLANKĄ" ROZPOCZĘŁA SIĘ DROGA DO SŁAWY.



Fotografja roentgeniczna sytuacji, przedstawionej na zamieszczonem obok zdjęciu z fryzjerni.
Fot. Leonhardt — Berlin.

Mało który z wielkich uczonych osiągnął popularność równą popularności Roentgena. Nic w tem dziwnego, skoro odkrycie jego stało się epokowe zarówno dla nauk ścisłych, jak stosowanych np. medycyny czy techniki. W dniu 27 marca minęło właśnie 90 lat od przyjścia na świat tego człowieka, którego nazwisko jest dziś znane we wszystkich zakątkach świata.

Wilhelm Konrad Roentgen, odkrywca tajemniczych promieni X, urodził się w r. 1845 w Lennep na granicy niemiecko-holenderskiej jako syn niemieckiego właściciela fabryki sukna i matki Holenderki. Wychowywał się w Holandji, gdzie uczęszczał do gimnazjum, którego jednak nie ukończył, gdyż nie odznaczał się wcale pilnością.



A tu człowiek z aparatem fotograficznym „w naturze" i na kliszy, naświetlonej promieniami X.
Fot. Leonhardt — Berlin.





Był zato bardzo dobrym kolegą, co — jak to często bywa — odbiło się na nim fatalnie, gdyż zato, że nie chciał wyjawić nazwiska ucznia, który na tablicy narysował karykaturę profesora, został z gimnazjum wydalony.

Nie mając matury zapisał się do szkoły budowy maszyn w Appeldoorn, gdzie jednak spowodu braku dyplomu nie mógł studjów kontynuować. Dowiedziawszy się, że na politechnice w Zurychu przyjmują bez matury, zapisał się tam, ale i w Zurychu nie odznaczył się początkowo niczem.

Dopiero jeden z nauczycieli, wyczuwając w Roentgenie pod warstwą lenistwa nieprzeciętne zdolności, potrafił dobrać się do jego ambicji i pod jego wpływem Roentgen zabrał się do pracy i uzyskał tytuł inżyniera.

Popularną podówczas w Zurychu była gospoda pod „Zieloną szklanką". Zbierała się tam śmietanka intelektualna miasta, ale Roentgen bywał tam często po to raczej, by móc patrzeć w piękne oczy córki właściciela gospody, późniejszej swojej żony. Tak więc gospoda pod „Zieloną szklanką" stała się epokową w jego życiu, równocześnie jednak stała się epokową w życiu całej ludzkości. Tam bowiem poznał się Roentgen z wybitnym profesorem fizyki, Kundtem, który zaproponował wałęsającemu się bez zajęcia inteligentnemu młodzieńcowi stanowisko asystenta przy swojej katedrze i zaopiekował się nim, zabierając go z sobą do Würzburga.

Nie mając matury nie mógł się tam Roentgen habi-

litować, co udało mu się dopiero w Strassburgu, dokąd pojechał razem z Kundtem.

Od tej chwili datuje się początek karjery naukowej Roentgena. Zaczyna on zdobywać sobie nazwisko jako pilny pracownik i przechodząc przez różne stanowiska dostaje się wkońcu jako zwyczajny profesor na uniwersytet w Giessen. Na tym już uniwersytecie wsławia się pracami naukowemi.

To jednak odkrycie, które uczyniło go nieśmiertelnym, przypada dopiero na okres, gdy Roentgen objął katedrę w Würzburgu. Od tej wiekopomnej chwili mija właśnie 40 lat.

Genjalne odkrycie Roentgena jest typowym dowodem tego, iż bardzo często największą zasługę przy wielkich odkryciach ma — przypadek. Tegosamego odkrycia, którego dokonał Roentgen, dokonać mógłby ktobądź, ale Roentgena wiekopomną zasługą jest to właśnie, że zorjentował się natychmiast w doniosłości tego odkrycia i jego konsekwencjach dla życia ludzkiego i okrycie to naukowo opracował i rozwinął.

Najrozmaitsze krążyły plotki na temat tego dkrycia. Tak np. opowiadano, że dokonał je służący laboratorjum, Marstaller, względnie jeden z asystentów Roentgena, inni znowu twierdzili, że myśl zasadniczą podsunął uczonemu jeden z jego przyjaciół. Wszystko to jest właściwie obojętną rzeczą, gdyż niezbitym faktem pozostaje to, że Roentgen, jedyny z pośród wszystkich, którzy odkrycia tego dokonać mogli, wyciągnął z niego należyte konsekwencje.

Pewnego dnia w r. 1895 manipulował Roentgen przy tak zw. rurce Hittorfa. Była to rurka szklana z wtopionemi w nią dwiema elektrodami metalowemi. Z rurki tej wypompowano powietrze i wtedy pod wpływem wyładowań elektrycznych np. zapomocą silnego induktora powstawał strumień promieni katodowych, dążących od elektrody ujemnej. W rurce promienie te, wskutek wklęsłego kształtu katody, skupiały się na kształt promieni świetlnych w pewnym punkcie na platynowej flaszce.

Od dawna eksperymentował Roentgen z tą rurką, jak również z cokolwiek inaczej zbudowaną rurką Lenarda. Owe promienie katodowe nazywano inaczej promieniami Lenarda. Otóż raz zdarzyło się, że włączywszy prąd elektryczny otrzymał Roentgen tak silny strumień tych promieni katodowych, że blaszka platynowa w ciągu kilku sekund została przepalona, a lampa temsamem uszkodzona.

Ku swemu zdumieniu zauważył jednak nazajutrz Roentgen, że jego pierścień, który znajdował się w szczelnem pudełku drewnianem obok aparatu Hittorfa, pozostawił wyraźny ślad na papierze fotograficznym, na którym pudełko to się znajdowało. Początkowo o jakieś manipulacje z papierami fotograficznymi podejrzewał Roentgen służącego Marstallera. Służący jednak poprzysiągł na wszystkie świętości, że wogóle się do tych papierów i do aparatu nie zbliżał.

I wtedy błysnęła Roentgenowi genjalna myśl, że wchodzi tu w grę jakieś nieznane dotychczas zjawisko, jakieś promienie, które przenikają ciała nieprzeźroczyste dla zwyczajnych promieni świetlnych.

W ten sposób dokonał Roentgen odkrycia tajemniczych promieni, które nazwał promieniami X. Okazało się, że przenikają one różne materjały, te zwłaszcza, które składają się z lekkich pierwiastków.

Roentgen zorjentował się natychmiast w znaczeniu promieni X zarówno dla medycyny, jak dla techniki. Dzięki promieniom Roentgena medycyna uzyskała znakomity instrument diagnostyczny, zezwalający na wykrycie wewnętrznej struktury ciała, na badanie jego schorzeń, jak również na leczenie ciężkich chorób, jak np. raka.

Niektóre działy technologji nie są dziś do pomyślenia bez promieni Roentgena. Dzięki ich zastosowaniu stało się stosunkowo łatwe wykrywanie ukrytych wad materjałów w przemyśle metalurgicznym i elektrotechnicznym, oraz wykrywanie zafałszowań starych obrazów, lub też szlachetnych kamieni.

Roentgen był pierwszym fizykiem, który otrzymał nagrodę Nobla. Nie skorzystał osobiście z tej nagrody, nie używał również nadanego mu tytułu szlacheckiego. Wydawało się, że nie zależy mu wcale na godnościach, zaszczytach ani majątku. Odkrycia swego wcale nie opatentował.

Zmarł w r. 1923. Lekarze orzekli, że organizm jego był zupełnie wyniszczony wskutek nieodpowiedniego i niewystarczającego odżywiania.

Pamięć wielkiego uczonego trwać będzie przez wieki w umysłach całej kulturalnej ludzkości.

Inż. A.



Pani jest ciekawą, jakie prezenty kryją się w pudełku... — Przed rozpakowaniem może się o tem dowiedzieć tylko z fotografji roentgenicznej (na lewo). Fot. Leonhardt — Berlin.





Na prawo: Oto jak wygląda człowiek sfotografowany podczas telefonowania przez kamerę Roentgena... Fot. Leonhardt — Berlin.





A tu na lewo okulary częściowo schowane w futerale, — poniżej zostały w całości naświetlone promieniami X.



AMAZONKI.



Hrabianka L. Hasselbach, znana duńska amazonka podczas parcourt konkursu hippicznego w St. Remo:



Artys[...]mowa Barbara Stanwyck zwracała elegancją stroju i świetną po[...] na koniu ogólną uwagę podczas konkursu w Passadena.



Ponit[...] „Steeple-hase“ w Bergshire, w którem biorą udział młode ladies londyńskiego high-life'u.

Na prawo: Kalifornijska mistrzyni w grze w polo, Anita Gibson.



Zdawałoby się, że nie ma nic tak bardzo odległego jak małe rączki kobiece i koń, zwłaszcza rasowy koń wyścigowy, czy konkursowy, którego prowadzenie wymaga tak wielkiej siły i umiejętności. A tymczasem dzieje się wprost przeciwnie. Kobiety lubią konie, są zapalonemi amatorkami sportu konnego i dzielnie prowadzą ogniste rumaki na przeszkody, rywalizując w wielu wypadkach z powodzeniem ze swymi męskimi przeciwnikami.

Widok amazonki na koniu, amazonki oczywiście dobrze jeżdżącej, sprawia właśnie przez ten kontrast słabości kobiety i siły konia piękne wrażenie, które potęguje się w miarę trudności terenu jazdy. Jeszcze nie tak dawno strojem, obowiązującym panie na koniu była długa suknia a sposobem jazdy — jazda na siodle damskiem. Siodło to było swego rodzaju katorgą dla konia. Obciążenie jednej strony konia, mniej ścisły kontakt jeźdźczyni z koniem stwarzały zawsze trudności, których konsekwencją były nieraz przykre upadki.

Dziś ten sposób jazdy, aczkolwiek przez wielu uważany za bardziej estetyczny i odpowiadający budowie kobiety, został zaniechany, a panie przyzwyczaiły się już do jazdy „po męsku“, a więc w sp[...]ach, ze strzemionami po obu bokach ko[...]właściw-

Rzecz prosta, że męski styl je[...]na prószy dla konia i tylko on u[...]mi. Prowadzenie konia kolanami i ty[...] wygonadto także i dla samych pań [...]cy, dodniejszy. Nie ma tej długiej sp[...]y. Dziś siad konia jest łatwiejszy i pewni[...]em napani w amazonce i z siodłem dam[...] leży do rzadkości.

W Polsce sport konny wśród [...]iet jest stosunkowo mało spopularyzowan[...] Oczywiście drożyzna odgrywa tu rolę [...]cydującą. Ale coraz częściej na biegac[...] myśliwskich pojawiają się sylwetki kobiece, coraz więcej ich na konkursach hippicznych. Jedynie wyścigi konne nie widziały jeszcze kobiet na starcie. Ale zagranicą i to już weszło w modę i coraz więcej torów wprowadza wyścigi kobiet do swego programu.

Wiosna — to początek sezonu konnego. Nietylko stajnie wyścigowe kończą przygotowania do wyścigów, ale także amatorzy „lekkiego“ sportu konnego wyruszają w pole na spacery i wycieczki. Między nimi widzimy zawsze dużo pań, z wdziękiem prowadzących przez płoty i rowy swe rasowe rumaki.

W. D.

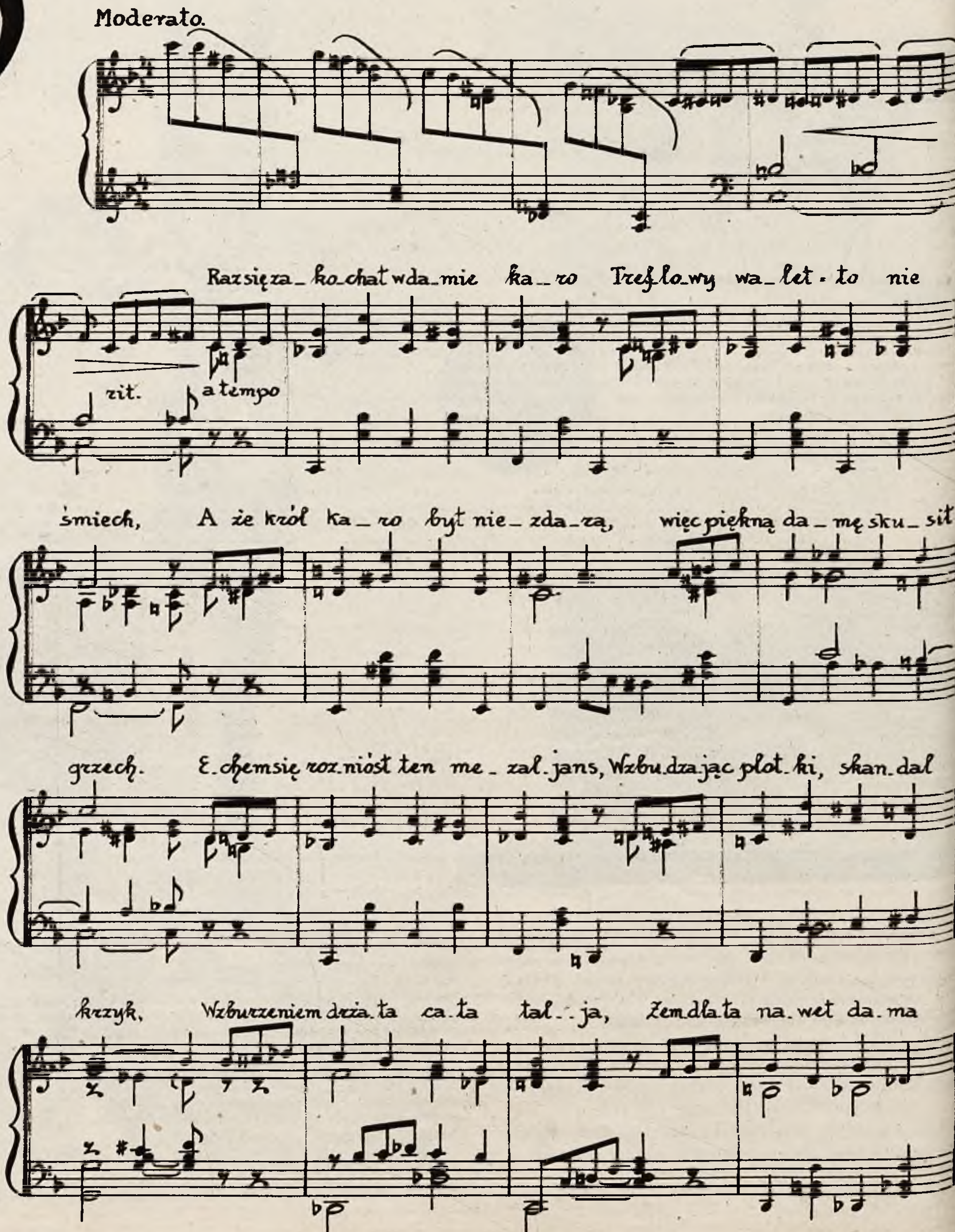
Nasz przebój muzyczny!



BALLADA BRYDŻOWA.

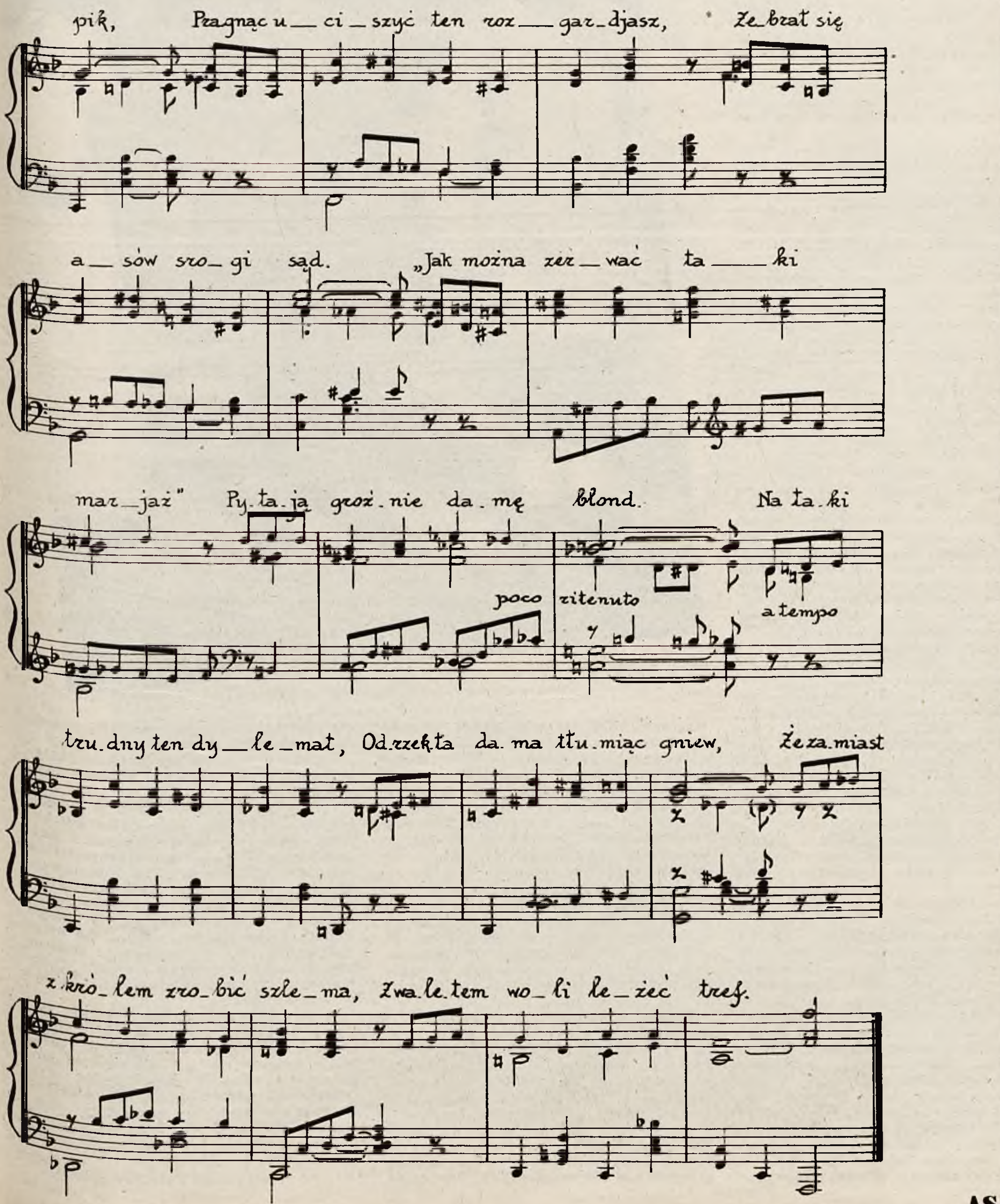
Piosenka.

Słowa i muzyka Zofji Nawrockiej.



Piosenka — ta najpopularniejsza forma kompozycji muzycznej, jest i była zarówno przed wiekami, jak i dziś wyrazem najróżnorodniejszych pragnień nietylko jednostek, ale i całych mas. Wiemy, jak wielką rolę odegrała ona w życiu tłumów podczas wielu rewolucyj — jak często jest na ustach maszerującego wojska, lub towarzyszy ludziom w ich znojej pracy codziennej. Wiemy również, że oparta na odpowiednim tekście, stanowiła ona nieraz ciętą broń w walkach politycznych, przed którą kapitulował niejeden mąż stanu, że wkońcu była i niewątpliwie zawsze będzie wykładnikiem ducha danej epoki, w której się zrodziła, i że dlatego wszystkiego zasługuje w pełni na miano „królowej“ nietylko scen kabaretowych i estrad koncertowych, ale także salonu, a przedewszystkiem... ulicy i podwórza.

Otwierając rubrykę muzyczną w naszym Magazynie, zwróciliśmy się z apelem do młodych kompozytorów polskich, by jaknajliczniej nadsyłali nam swe utwory, przyczem położyliśmy główny nacisk na piosenkę, słusznie uznając ją za najodpowiedniejszą do popularyzacji formę muzyczna. Ukazanie się pierwszego numeru „Asa“ i zawarta w nim zapowiedź konkursu muzycznego, spowodowały napływ wielu utworów, wśród których korzystnie wyróżnia się zamieszczona poniżej piękna piosenka p. Zofji Nawrockiej, młodej lwowskiej kompozytorki, będącej zarazem autorką dowcipnego tekstu słownego. el.



DEKOBRA

o sobie, Polsce i naszych kobietach.

Dzięki swym romansom Maurice Dekobra należy do najpopularniejszych pisarzy świata. Tłómaczono go na 30 języków. Nieraz spotykałem się z pytaniem:

— Jakże ten Dekobra wygląda, jak i co mówi? Przecież tak trudno sądzić człowieka tylko na podstawie jego książek...

Już dawno zamierzałem złożyć wizytę Dekobrze, poznać choć fragmencik jego prywatnego życia, lecz zawsze było to niemożliwe. Gdy telefonowałem do jego mieszkania, by prosić o przyjęcie, odpowiadano mi lakonicznie:

— Niema go w Paryżu! Bawi w Chinach! Wróci? Niewiadomo kiedy!...

Raz Chiny, raz Indje, to znowu Ameryka...

Wreszcie udało mi się go „złapać".

Po chwili oczekiwania, zbyt krótkiego, by obejrzeć fotografje, maski, kostjumy, książki i t. p., zapełniające salon, witam się z panem domu. Wysoki, o twarzy miłej i zawsze nieco sarkastycznie uśmiechniętej, wygląda bardzo młodo mimo swej pięćdziesiątki, wiecznej włóczęgi, i życia tak bogatego, niespokojnego, i pracowitego.

— Zapytuje mnie pan — mówi — o mą definicję romansu kosmopolitycznego? Odpowiem panu ogólną definicją romansu. Jest to — fikcja prozą, niesprowadzająca snu na powieki czytelnika po lekturze czterdziestej strony! Autor książki, mogącej zastąpić chloroform, winien przerwać pisanie i oddać się raczej hodowli królików.

— Z czegóż składać się więc powinien romans? Zwracam się do pana jak do profesora chemji...

— Dobrze! Mówmy językiem chemji literackiej. Jestem zdania, że na romans składają się trzy czynniki: sytuacje, bohaterowie i styl. — Sytuacyj, jak panu wiadomo, istnieje 36, i nie można znaleźć niczego nowego, by liczbę tę powiększyć. Powieściopisarze haftują poprostu wciąż nowe desenie na tych samych kanwach, które służą od wieków. Może odkrycie szóstego zmysłu lub podróż na księżyc czy Marsa pozwolą nam stworzyć sytuację trzydziestą siódmą. Czwarty wymiar byłby studnią dobroczynną dla literatury.

— Więc bohaterowie?...

— Ah! Bohaterowie... Na las potrzeba drzew! By zbudować romans — trzeba bohaterów. Lecz bohater nie musi być „bohaterski"! Bohater „bohaterski" przeżył się! Czytelnik woli postać zwyczajną, ściślej: ludzką.

— Gdyby pan miał stworzyć dziesięcioro przykazań powieściopisarza, jakieby pan przedewszystkiem ustalił?

— Hm... Zaczynajmy! Pierwsze: Skomponować intrygę. Drugie: W realizmie dnia dzisiejszego wybrać elementy fikcji. — Trzecie: Opracować styl ze szczególną troskliwością. Czwarte: Obmyśleć właściwy tytuł; jest on tem dla romansu, czem kolja pereł dla szyi pięknej kobiety. Piąte: Skorygować trzy razy rękopis, zanim pójdzie do drukarni. Szóste: Odświeżyć stare dekoracje podniszczone. Siódme: Wzbogacać swój umysł przez lekturę dzieł naukowych i filozoficznych. Ósme: Odpowiadać na listy czytelników, i udzielać im rad, jeśli o nie proszą. Dziewiąte: Nie wierzyć, że reklama wystarczy, by zdobyć popularność. Dziesiąte: Nigdy nie czytywać romansów!

A jeszcze o stylu?...

— Problem stylu interesuje właściwie tylko elitę czytających, lubujących się w oryginalności wyrażeń. Uważam, osobiście, styl za czynnik pierwszorzędnej wagi. Pisarz ma prawo wyrażać się wulgarnie tylko wtedy, jeśli przemawia ustami ludzi prostych.

Rozmowa schodzi na wspomnienia z przeszłości.

— Już od kilku lat nie miałem przyjemności odwiedzenia pańskiego kraju. A tymczasem zachowałem doskonałe wrażenie z mych podróży i pobytów w Polsce. Pobyt w Warszawie, Krakowie i we Lwowie dał mi wiele wzruszeń. Zwłaszcza Kraków, tak typowo uniwersytecki, pozostawił mi wspomnienia, których nie zapomnę nigdy. Nie zapomnę jednak, niemniej, poezji dzikiego lasu polskiego w jesieni...

— A czy mogę zadać pytanie niedyskretne, co sądzi pan o kobiecie polskiej?

— Czy mogę mówić szczerze i spontanicznie? Według mnie Polka jest kobietą może najinteligentniejszą i najbardziej wykształconą w Europie! Proszę nie sądzić, że silę się na komplementy! Bo nie mógłbym tego powiedzieć o innych narodowościach. Polka posiada zalety uroku osobistego, do czego dodać trzeba umysł twórczy, co uwydatnia się już w rozmowie. Znałem mężczyzn, którzy zwykli mawiać: „Przepadam za kobietami głupiemi... To daje wypoczynek!"

— Gdy słyszę podobną refleksję, życzyłbym takim osobnikom, by nigdy nie znaleźli się w towarzystwie Polek, bo w przeciwieństwie do tego co oni myślą, twierdzę, że kobieta bez wykształcenia pozbawiona finezji i kultury, jest stworzeniem najbardziej męczącem. Piękność jest, oczywiście, cenna, lecz piękność bez inteligencji — to latarnia bez światła!...

Zygmunt Frenkiel (Paryż).



Głośny powieściopisarz Maurycy Dekobra na jednej z ulic Pekinu (na fotografji umieścił on pozdrowienie dla swych czytelników z Polski).



„UŚMIECH" KRÓLA DŻUNGLI...

NA SKRZYDŁACH
Z AFRYKI DO EUROPY



Bocian w locie...

Z słonecznych wybrzeży Afryki północnej ciągną powietrznemi szlakami ku swej polskiej ojczyźnie chmary ptactwa, którego wylęgi odbywają się letnią porą w naszym kraju, a które jesień wypędza na dalekie południe. U nas budują sobie gniazda, tu pieczołowicie odchowują młode, aby skoro tylko nabiorą sił do lotu, udać się jesienią na długą wędrówkę za słońcem, ciepłem, którego polska zima nie daje.

A wśród nich jakże bliskie naszym sentymentom są poczciwe boćki, których najpierwsze forpoczty lądują już szczęśliwie na opuszczonych jesienią gniazdach naszych strzech lub drzew przydrożnych.

Nauka ornitologji poddała troskliwym badaniom sprawę przelotu bocianów na południe. Wiemy już dziś dokładnie, którędy z Polski udają się bociany, odlatując wczesną jesienią na południe. Połączone stada bocianów płyną wielkiemi stadami przez Węgry, ponad Bosforem, terenami Małej Azji, Syrji, Egipt i potem hen ponad całym kontynentem afrykańskim aż na południowy cypel Kraju Przylądkowego. I tu dopiero po trudach powietrznej podróży — która trwa przeszło 2 miesiące — osiadają na zimowe leże. Druga partja dąży na zachód, by ominąć Morze Śródziemne ponad Gibraltarem.



Moment „lądowania“ ptaka na gnieździe...



Zachodnia trasa przelotu bocianów z Afryki ponad Gibraltarem.



Bociania „idylla“ we wsi polskiej — a poniżej jej marokańskie pendant.



Kto im wskazuje drogę? Oto pytanie, które mimowoli ciśnie się na myśl, kiedy zastanawiamy się nad olbrzymiemi przestrzeniami, pokonywanemi, przez ciągnące odwiecznemi szlakami swych przeznaczeń, ptaki.

Stacje ornitologiczne podejmują badanie przelotnych ptaków, posługując się znakowaniem ich obrączkami, zakładanemi na skrzydłach lub nóżkach ptaków. Obrączki mają wyryte daty i miejscowość, z której ptaki zostały wypuszczone. Tak śledzi się na podstawie odnajdywanych ptaków znakowanych szlaki ich przelotów, z czego wynikiem nowszych badań dopiero doszli uczeni do postawienia tezy, iż europejski bocian zimuje na południowym cyplu Afryki.

Podróże bocianów nie odbywają się rzecz prosta jednym ciągiem. Ptaki opadają dla wypoczynku i pożywienia na pewnych odcinkach stałych na ląd i dopiero po nabraniu sił podejmują dalszy lot.

W styczniu rozpoczyna się odlot bocianów na północ. Jednym z etapów jest naturalnie północna Afryka, a szczególnie Marokko. — I rzecz najdziwniejsza: część bocianów pozostaje tu przez całe lato, aby jesienią złączyć się ze swą europejską bracią i wrócić na południe.

W Marokku są bociany bardziej jeszcze chronione przez zwyczaj ludowy, niżeli w Polsce. To też jak u nas, gnieżdżą się one w pobliżu osiedli ludzkich, przynosząc szczęście swem pojawieniem się na gnieździe. Istnieje legenda afrykańska, która powiada, że bociany to dusze muzułmanów, odbywające pokutę w takiej reinkarnacji. Życie rozsiewa muzułmanów po całym świecie, a skoro za życia nie zdążą odbyć pielgrzymki do grobu świętego Mulay Idris, znajdującego się w Marokku, miłościwy Allah przyobleka ich dusze po śmierci w ciało wędrownych ptaków — bocianów, iżby mogły bodaj po śmierci odbyć przykazaną pielgrzymkę.

Widok bociana w Marokku jest czemś nieodłącznym prawie od jego krajobrazu. Na ubogich zagrodach tubylców, na skałach i murach, na minaretach, a nawet w lasach Atlasu i to na znacznych wysokościach (1.700 m.), wszędzie spotkamy dobrze Polakowi znane gniazdo bocianie.

Kult bociana jest nawet tak daleko posunięty, że są specjalne stacje ochrony bociana, a nawet szpitaliki, gdzie oddaje się chore bociany, porzucone nieraz przez przelatujące stada.

KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. 6 Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— Proszę mu dać te 25 funtów, Geoffrey — mówił dalej Marek Mann. Będzie ich potrzebował, jeżeli chce, aby się Helena zabawiła.

— Ale przecież ja nie mogę przyjąć od pana 25 funtów — protestował Chesham.

Szef zrobił znaczący ruch ręką.

— To tylko za oddane usługi. A gdybyśmy się mieli więcej nie zobaczyć, przypuszczam, że pan nie będzie uważał, żeśmy go zapłacili zbyt skromnie za pracę wykonaną wieczorem.

— Proszę wziąć te pieniądze — dodała Helena. — Chciałabym zatańczyć, a tylko wtedy dobrze się bawię, gdy wiem, że to dużo kosztuje.

Chesham wziął banknoty. Wyraz twarzy młodego bruneta jeszcze bardziej sposępniał.

— Chyba pan nie zamierza pozwolić, by ten młodzik poszedł na Piccadily po tem wszystkiem, co tu usłyszał dzisiaj wieczorem! — krzyknął, zwracając się do szefa. — Przecież on pójdzie i wypaple wszystko policji i...

Biała ręka Szefa odsunęła jego protesty.

— I cóż wie? — zapytał Mark Mann. — Był na doskonałym obiedzie w Klubie Piratów" na Piccadilly. Przysłuchiwał się trochę zwarjowanej dyskusji — temu rodzajowi rozmów, które idą zazwyczaj w parze z dobrym burgundem Chateau Margaux, które tutaj pił. Niektórzy zwracali się do niego, jako do księcia Korawji, Sergjusza. Gdyby opowiadał takie rzeczy, to nasi przyjaciele z urzędu policyjnego uśmiechnęliby sie uprzejmie i posłali go do domu.

— Ja nie mam wcale zamiaru wypaplać czegoś policji — powiedział Chesham zimno. Czuł antypatję do Geoffrey Wintertona, który tak natarczywie patrzył się na tę dziewczynę.

— Pójdę z panią na dancing — powiedział — a potem...

Wzruszył ramionami, gdyż nie miał najmniejszego pojęcia, co zamierza robić po dancingu i gdzie pójdzie.

— A mnie pani, pani Heleno, obiecała, że pani dzisiaj wieczorem ze mną zatańczy — wtrącił gorzko Winterton.

— Szalenie mi przykro, Geoffrey — powiedziała cicho — może zrobimy to w jakiś inny wieczór.

I ze spokojem kobiety, która bez względu na innych chadza własnemi drogami, wymanewrowała Cheshama i siebie z pokoju.

— Nie lubię tego, Szefie — powiedział Winterton, patrząc za wychodzącą parą. — Ryzykuje pan wiele z tym młodym Cheshamem. Jest to ryzykowna gra!

— Mój drogi Geoffrey — odpowiedział Mark Mann. — Chesham jest graczem i jednym z tych graczy, których przeznaczeniem jest przegrać. — Wygrać, to ja wygram.

Znowu machnął ręką, a w jego chytrych oczach błysnął uśmiech. Juljan wysunął go przez drzwi.

Pozostawiony sam sobie Geoffrey Winterton wyjął papierosa i ze smutną miną zaczął palić.

ROZDZIAŁ XI.

Usiłowane morderstwo.

Przyćmione światła rzucały kolorowe cienie na kwadraty szklanej, oświetlonej od dołu posadzki do tańczenia. Kobiety w kosztownych toaletach, które stworzyła fantazja salonów piękności w Mayfair kobiety, których jedynym celem zdawała się zabawa za wszelką cenę, posuwały się w tańcu z mężczyznami, ubranymi bez zarzutu.

Orkiestra drgała w rytmie granych przez siebie melodyj, nie tracąc jednak ani na chwilę dystynkcji. Każdy nosił maskę zadowolenia i powodzenia. Kobiety uzupełniały tę maskę warstwą pudru, a wargi ich były tak zaczerwienione, że nawet bandyta zawahałby się je pocałować.

Ale będąc w Bandonie było się bez dyskusji „między towarzystwem". Nawet reporterzy dzienników szanowali tę atmosferę. Właściciele Bandonu zaś chełpili się ekskluzywnością swego lokalu.

Dwóch gentlemanów w strojach wieczorowych bacznie śledziło wszystkich, którzy wchodzili do lokalu. Pewnego razu nie zawahali się nawet usunąć podpitego eksministra. Uprzejmie, ale niemniej zdecydowanie usadowili go w taksówce. Na szczęście szofer znał adres tego b. ministra.

Tych dwóch panów we frakach uśmiechnęło się i ukłoniło sie, kiedy Helena Mann weszło do hotelu. Zatrzymali swój wzrok na chwilkę, przyglądając się bacznie Arturowi Cheshman. Był nowym gościem, ale, jako towarzysza Heleny Mann puścili bez pytania.

— Grają walca, a ja właśnie bardzo lubię tańczyć walca — powiedziała Helena, kiedy weszli na salę.

Z uśmiechem zaczęła tańczyć z Cheshamem. Jak na młodego człowieka, który dzisiaj rozmyślał nad tem, jak spędzić noc na bulwarach, Chesham nie był bardzo zmieszany.

Luksusowe życie nie było dla niego nowością. Miał już w niem swój udział w czasie swej młodości. Nagle znalazł się tak szybko w obliczu zupełnego ubóstwa, pomimo troskliwie wykombinowanych planów.

Subtelna melodja walca, grana przez najlepszą orkiestrę londyńską, zaczęła na niego działać. Zupełnie instynktownie ramię jego objęło silniej szczupłą dziewczynę o włosach tycjanowskich, która tak lekko i doskonale tańczyła. Zapach drogiej i wyszukanej perfumy otaczał ją. I gdy rozmyślał nad wszystkiem, zrozumiał, że ta piękność z Mayfair jest tylko drugiem wcieleniem dziewczyny, szczerej i bez fałszu. Niema nic niebezpieczniejszego dla mężczyzny niż kobieta, która łączy w sobie te dwie właściwości — wykazywanie na zewnątrz pewnej sztuczności, pomimo, że wewnętrznie jest naturalną istotą.

Zanim walc się skończył Artur Chesham znalazł się w zupełności pod wpływem Heleny. Orkiestra przestała grać.— Zblazowana młodzież nie uplaudowała, uważając, że to nie jest szykowne. Helen i Chesham znaleźli mały wolny stolik gdzieś w rogu sali.

— Ucieszył mnie ten taniec — powiedział.

— Pan tańczy dobrze — odparła otwarcie.

— Mam nadzieję, że będę mógł z panią częściej zatańczyć — dorzucił ciepło.

— To należy — powiedziała i jej lekko zaróżowione wargi rozchyliły się nieco.

— Zależy od czego? — zapytał.

— Od tego, czy pana jeszcze zobaczę po dzisiejszym wieczorze — powiedziała spokojnie.

— Acha, rozumiem — powiedział i odwrócił swój wzrok od jej rudawej czupryny. — Chcę panią przeforsować, bym podjął te absurdalne pretensje i stał się księciem Korawji.

Rozmowę przerwał wybuch serde-

czngo śmiechu, dość głośnego, by wszyscy obecni w tym wytwornym hotelu spoglądali w kierunku śmiejącego się. Młody, jasny blondyn siedzący przy stole kilka metrów od nich śmiał się do rozpuku. Albo był lekko pijany, albo też bawił się tak doskonale. Ten wybuch śmiechu spowodował że obydwaj niemi panowie we frakach, którzy pilnowali wejścia, zjawili się natychmiast w drzwiach dancingu. Młody człowiek serdecznie uśmiechał się w ich kierunku.

Orkiestra uratowała sytuację, śmiejąc się w rytmie foxtrotta.

— Naturalnie, że chcę, by pan wyszedł cało z tej przygody — ciągnęła dalej Helena.

— Pani mówi tak, bo pani wierzy w swego ojca i w jego teatralny interes z tymi piratami z Piccadilly — wtrącił gorzko Chesham.

— Dlatego, bo wierzę w pana — odparła poprostu.

Siwe oczy patrzyły nań spokojnie z tej pięknej, zimnej twarzy.

— Są tu dwie rzeczy, których nie mogę zrozumieć — szepnął.

— Może będę mogła panu wytłumaczyć — powiedziała. — Proszę, niech pan da papierosa.



Znaleźli mały, wolny stolik, gdzieś w rogu sali...

Kiedy podawał jej zapałkę drgnęły mu ręce. Wydawała mu się tak bliską.

— Po pierwsze — zaczął — nie mogę zrozumieć, że ci ludzie z Korawji, a w szczególności Stary Ferencz Jokaj, nie zauważyli, iż jestem intruzem. Przecież musieli wiedzieć, że ja nie jestem prawdziwym księciem Sergjuszem.

Widział jej uśmiech za cienką zasłoną dymu papierosa.

— Żaden z nich nie widział nigdy na oczy księcia Sergjusza — odpowiedziała — z wyjątkiem starego Jokaja. A on widział księcia Sergjusza w wieku osiemnastu miesięcy na rękach angielskiej „nursy". Potem przyszła rewolucja, króla zabito i „nursa" uciekła do Anglji, biorąc dziecko, księcia Sergjusza, ze sobą. Nikt nie widział więcej ani jej, ani dziecka. W Korawji proklamowano republikę i Jan Neruda stał się dyktatorem. Ale zostało tam kilku rojalistów, pomiędzy nimi Ferencz Jokaj, którzy nie zapomnieli, że młody książę żyje gdzieś w Anglji.

— To prowadzi mnie do drugiego problemu — potakiwał Chesham. — Ten młody książę wyrósł i wie z pewnością o tem, że jest on prawdziwym dziedzicem tronu Korawji. Cóż on powie o tej dziwnej historji?

Helena zanurzyła swą twarz w gęstym dymie papierosa.

— Prawdziwy książę Sergjusz żył — powiedziała.

— Jakto żył?!... — Chesham drżał, wypowiadając te słowa.

— Tak. Umarł dzisiaj popołudniu, właśnie w chwili, kiedy zdążał do domu piratów w Piccadilly. Umarł... z głodu.

— Biedak! — szepnął Chesham zupełnie mimowoli.

— Po wielu kłopotach i długotrwałych poszukiwaniach tatuś odnalazł prawdziwego księcia Sergjusza — ciągnęła dalej dziewczyna. Mieszkał w jakimś małym pokoiku na przedmieściu. Mężczyzna ten nie chciał mieć jednak nic do czynienia z ideą zdobycia z powrotem tronu Korawji. Powiedział, że wcale tego nie potrzebuje; żył w ciągłym strachu na myśl, że mogą go za mordować.

— Zamordować!

— Tak. Powiedział, że agenci Jana Nerudy nie ustaną, zanim go nie zamordują, by zapewnić bezpieczeństwo dyktatora. W Korawji rozeszły się już bowiem pogłoski o sprzysiężeniu rojalistycznem. Zdaje się, że prawdziwy książę Sergjusz bardzo dbał o własną skórę.

— A co się potem stało?

Chesham spostrzegł, że cała ta przygoda miała nietylko swą humorystyczną stronę. Ponury cień, śmierć już ją dotknęła.

— Tatuś wreszcie namówił księcia Sergjusza, by przybył na Piccadilly i spotkał się z rojalistami korawiańskimi. Spotkanie to ustalono na dzisiejszy wieczór. Książę Sergjusz przybył wcześniej. Wyglądał przestraszony. Opuścił taksówkę i wszedł do „Klubu Piratów" i wtedy padł na ziemię nieżywy.

— To był ten człowiek, którego prowadzono nadół po schodach? — szepnął Chesham i przed oczyma stanął mu widok trzech mężczyzn, schodzących powoli krok za krokiem po schodach.

— Musiano go przecież usunąć — padła szeptem odpowiedź. — Biednemu Geoffrey wyznaczono tę „robotę".

Nerwy Cheshama były naprężone do ostateczności. Zdawało mu się rzeczą nie do wiary, iż rozmawiali tutaj o śmierci i trupach, w tej atmosferze luksusu, przy dźwiękach orkiestry, grającej śpiewne melodje taneczne.

— Ojciec pani musi być twardym i zdecydowanym człowiekiem — powiedział.

— Tatuś jest genjuszem — powiedziała prosto i w tej uwadze nie było nic zarozumiałości. Dla niej było to stwierdzenie faktu. — Zatelefonował do mnie do Dover. W każdej chwili spodziewano się przybycia gości z Korawji, a książę był nieżywy. Sytuacja była beznadziejna. Powiedziałam mu, że będę starała się coś zrobić i spotkałam pana.

— Miała pani szczęście — wtrącił Chesham.

— O to była wielka szansa — powiedziała. — I do tej chwili mamy powodzenie. Spodziewam się, że będziemy mieć to powodzenie do końca. Pan chyba nie opuści nas, jeżeli ja pana o to poproszę.

Długo patrzył na nią, na jej poważną, bladą twarz, wpatrywał się w jej siwe oczy. Przez chwilę wahał się. — Ale miał wrażenie, jakgdyby wpadał w przepaść i ze wszystkich stron ogarniały go ciemności. — Odmownie kiwał głową.

— Niech pani nie wierzy w książąt — powiedział spokojnie — a raczej w fałszywych książąt. Chętnie pomógłbym pani, ale odgrywając tę rolę, stałbym się marjonetką w grze, mogącej spowodować krwawą rewolucję w kraju, którego wogóle nie znam. I wszystko to w tym celu, by ojcu pani umożliwić zdobycie kopalni radu.

— Może znajdzie się jednak cena — nawet dla pana — odparła, wstając powoli z krzesła.

Patrzał na nią ciągle wahająco.

— Przedewszystkiem zatańczmy jeszcze raz — powiedział i także wstał.

W tej właśnie chwili zbliża się ku nim kelner z tacą, na której była butelka wina i kilka kieliszków. Artur Chesham miał wrażenie, jakgdyby z tacy patrzył nań jakiś sęp.

Raz jeszcze głośny śmiech brutalnie przerwał wytworną atmosferę i jasnowłosy młodzieniec, niebezpiecznie zataczając się, kierował się ku kelnerowi, niosącemu tackę. Równocześnie usłyszano suchy trzask. Chesham poczuł świst kuli koło swej szyi i usłyszał uderzenie w ścianę za sobą. Słodkawy zapach prochu pomieszał się z wytwornemi perfumami. Taca i szkło upadły na ziemię. Orkiestra przerwała nagle swą grę, a poprzez salę zbliżali się szybko dwaj niemi panowie w strojach wieczorowych. Kelner o twarzy sępa zniknął.

— Czy pana trafiono? — Był to głos Heleny i palce jej objęły jego rękę. Zaprzeczył głową. Tłum otoczył go. Upudrowane maski miały przerażony wygląd. Powstało ogólne zamieszanie.

— Jeszcze kilka centymetrów i byłoby skończone — powiedział spokojnie Chesham Helena była trupio blada i trzęsła się na całem ciele.

Tłum się rozstąpił, a przed nimi stanęli dwaj niemi panowie we frakach.

— To jest bardzo nieprzyjemne, proszę pana — zaczął jeden dość gwałtownie.

— To jest bardzo nieprzyjemne, proszę pana — powtórzył drugi — coś podobnego nie zdarzyło się jeszcze nigdy w Bandonie.

Ciąg dalszy nastąpi.

ZROBIĆ TO SAMA...



BLUZECZKA KASACZKOWA W BARWNĄ KRATKĘ.

Na zrobienie ażurowego tła używamy trzech kolorów włóczki. Na naszym wzorze zrobiony jest początek cztery rzędy beige, potem 4 rzędy pomarańczowe, następnie 2 rzędy beige i 4 rzędy zielone. Tę kolejność powtarzamy: 4 beige, 4 pomarańczowe, 2 beige, 4 zielone.

Po zrobieniu 4 rzędów koloru zielonego będziemy oddzielać cząstki na zrobienie otworów, przez które przejdzie osobno robiony pasek. Jeżeli z danych wymiarów dziurki te wypadną w jasnym kolorze to pasek będzie ciemny (tu zielony), jeżeliby zaś zrobione były w ciemnym odcieniu to pasek będzie jasny.

Mając zrobioną całą formę pleców, od której zaczęliśmy wzór ażurowy, przystępujemy do przerobienia go łańcuszkami poprzecznemi, kierując się od oczka ażurowego do oczka, zawsze wskos. Zawiązawszy nitkę na brzegu siatki od dołu robi się na lewej stronie trzy oczka w powietrzu, czwartem zabiera się w górze łańcuszek ażurowego tła i tak powtarza się po trzy oczka na każdym ażurku, łapiąc czwartem łańcuszek tła, zawsze w najbliższem na ukos ażurku.

Kolejność kolorów dla skośnych łańcuszków jest w naszym wzorze następująca: 4 łańcuszki beige, 4 łańcuszki zielone, 2 łańcuszki beige, 2 łańcuszki pomarańczowe i znowu 4 beige i t. d.

Poszczególne części kroju łączymy igłą krytym ściegiem.



Ażurowa bluzeczka szydełkowa.

Robótki ręczne to ulubiona dziedzina pracy wielu pań. Ale mając zazwyczaj niewiele czasu, chciałybyśmy, aby każda robótka jak najszybciej została wykończona, jak najszybciej sprawiła nam radość ujrzenia jej gotowej, zwłaszcza gdy przeznaczona jest do uzupełnienia ubioru własnego lub też kogoś z najbliższych.

Bluzeczka kasaczkowa, której wzór i sposób wykonania podajemy w dzisiejszym numerze, odpowiada właśnie takim wymaganiom, a jest przytem nadzwyczajnie efektowna i praktyczna na chłodniejsze dni wiosny.

Wykonana jest szydełkiem z cienkiej wełny o jedwabistym połysku, której należy przygotować 3 kolory po 80 g w każdym. Nasz wzór jest zrobiony z następującego zestawienia barw: beige, pomarańczowy i jasno zielony.

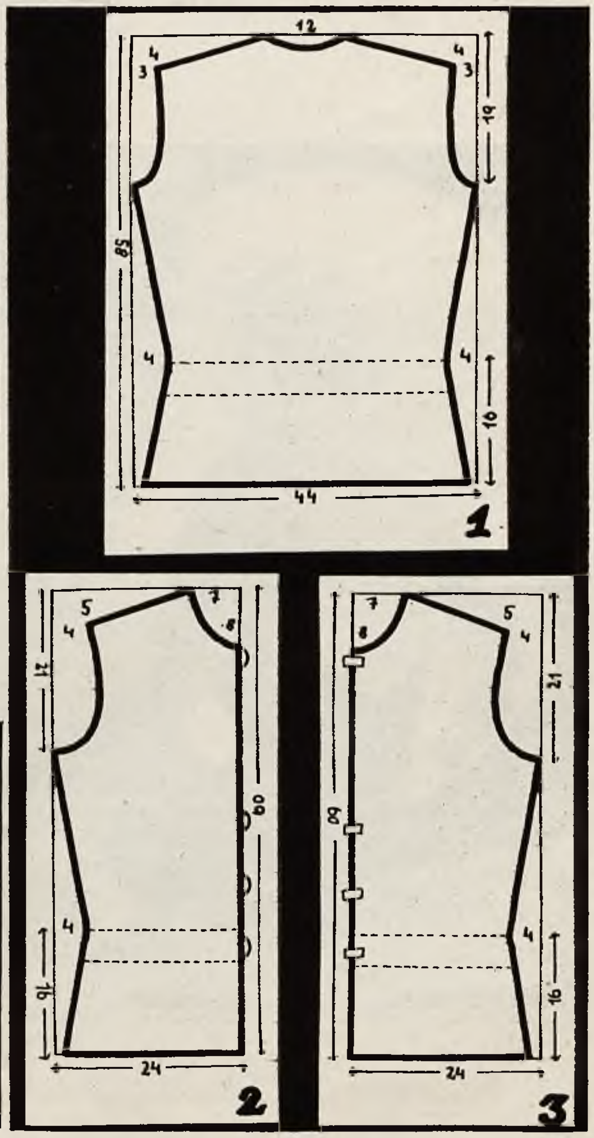
Według podanego niżej opisu, zastosowanego tutaj ściegu szydełkowego, wykonujemy poszczególne części, przygotowanego na swą miarę kroju, biorąc za punkt wyjścia wymiary, podane na reprodukowanych w pomniejszeniu formach.

Cała bluzeczka jest zrobiona ściegiem ażurowym. Po wykonaniu całości każdej poszczególnej części bluzeczki, przerabiamy na tej ażurowej siateczce ukośnie biegnące ściegi łańcuszkowe, dokładnie widoczne na naszem zdjęciu i reprodukcji powiększonej samego wzoru.

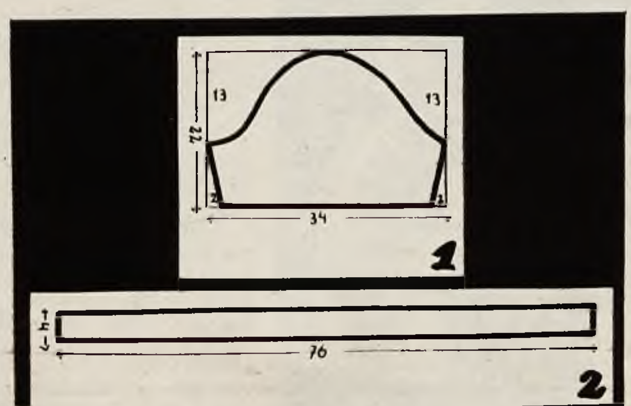
Rozpoczynamy robotę od łańcuszka o ilości oczek dostosowanej do przygotowanej formy, zaczynając np. od pleców. To jest rząd pierwszy naszej roboty. Rząd drugi rozpoczynamy dwoma oczkami w powietrzu i zwyczajnym słupkiem raz nawijanym. Następują 3 oczka w powietrzu, poczem wyciągamy duże oczko, wbijając szydełko w 3-cie oczko łańcuszka. Mamy teraz na szydełku dwa oczka (małe i duże), które wspólnie przerabiamy, robiąc znów 3 oczka w powietrzu i powtarzając dalej motyw przez wyciągnięcie dużego oczka i przerobienie go z oczkiem znajdującem się na szydełku. Trzeci rząd i następne wykonuje się już identycznie jak rząd drugi z tem, że wyciągamy oczka, wbijając szydełko zawsze w środek trzeciego oczka.



Powiększony wzór desenia bluzeczki szydełkowej.



Krój 1) rękawa i 2) paska z dokładnemi wymiarami.



1) Plecy, 2) i 3) przody bluzeczki. Cyfry podane obok krojów wyrażają proporcje kroju w centimetrach.

IDZIEMY ★ NA ★ BRYDŻA



Caro: suknia z marocain modnie falowana przy dekolcie. Trefle: gładki materjał ślicznie wygląda z motywami marszczonemi, Pik: suknia w grochy z jasnym wykładanym kołnierzem, Coeur: plisowany żabot i marszczone rękawy cechują tę suknię z jasnego jedwabiu.

Skończyła się zima i karnawał a wraz z nimi narty-brydż i dancing-brydż, ale pozostał: brydż.

To krótkie dźwięczne słówko, mieszczące w sobie tyle treści, stało się elementem niezbędnym do życia. Często jak groźny żywioł sieje zniszczenie, staje się powodem rozłąki (znowu całą noc grałaś w brydża), waśni i zerwania. Częściej jednak działa kojąco na wszelkie dolegliwości, pozwala zapomnieć o bólu zęba, podagrze, kryzysie i podatkach.

Dla płci pięknej rozpoczęcie sezonu brydżowego jest hasłem do sprawienia nowej sukni. Suknia jest koniecznością, twierdzi pani, trudno bowiem zrobić szlema, czując na sobie krytyczny wzrok vis-a-vis lub co gorsze przeciwniczki — gdy nie ma się ładnej świeżej sukienki.

Jak wygląda suknia popołudniowa?

Charakterystyczne jej cechy to dość szeroki dół, zmarszczki i fałdy z przodu spódnicy, nagromadzenie ozdób przy szyi i bardzo szerokie rękawy, ramiona naogół opadające łagodnie. Rękawy sukien popołudniowych zaopatrzone są od góry w mnóstwo zaszewek i zmarszczek, puszczonych luźno dopiero ponad łokciem, cała szerokość rękawa gromadzi się więc poniżej. Prócz rękawów odnajdujemy je na karczku, w talji, dookoła bioder, dzięki nim powstają wyrzucane staniki u sukien. Niektóre magazyny usiłowały lansować suknie marszczone dokoła bioder, t. zw. „paysanne", ale nie osiągnęły powodzenia, któraż bowiem z pań zechce zatrzeć smukłość swej figury. To też fałdy, plisowania, marszczenia gromadzą się jedynie z przodu sukni, zaczynając się już od pasa.

Następny ważny punkt to sute przybranie góry: oryginalne kołnierze, riusze, żaboty. Lanvin pokazał w swej kolekcji ciekawy kołnierz cały plisowany z przodu.

Z wyborem materjału na popołudniową suknię mamy kłopot nielada. Wełny gładkie, matlassé, w prążki, konkurują z jedwabiami, przypominającemi wełny. Jedwabie „impremé" na dzień są dyskretne w kolorze i deseniu. Mała krateczka, groszki lub centki białe na czarnem tle. Wdzięczne jesteśmy za to modzie, gdyż taka suknia nigdy się nie opatrzy. Ulubioną jednak barwą na popołudniowe przyjęcie pozostanie czarna. Wzorzyste tkaniny w duże kwiaty zachowamy na wieczór.

J. D.



Bardzo modna bluza z czarnego tiulu wyszywanego pailletami.



Bluza z dwubarwnej lamy. Szeroki pasek o metalowych spięciach.

TRZY GRACJE NASZEGO BALETU.



Olga Sławska.
Fot. Van Dyck — Warszawa.

Zdarzyło mi się być świadkiem nowoczesnego „sądu Parysa“, który wypadł bardzo oryginalnie...

Było to niedawno, gdy gościł w Warszawie Sergjusz Lifar i gdy, jeszcze przed głośnym potem incydentem, baletmistrz Teatru Wielkiego, Ciepliński, usłużnie prezentował mu swój zespół, aby Lifar mógł sobie wybrać partnerkę, jedną partnerkę, jak początkowo zamierzał. Ponieważ przegląd całego zespołu byłby zbyt uciążliwy, baletmistrz Ciepliński wraz ze swym zastępcą Pianowskim odrazu pokazali gościowi słynące z talentu i urody „trzy gracje“ baletu Teatru Wielkiego: Basię Karczmarewiczównę, Tosię Nowicką i Olgę Sławską.

Lifar patrzał, patrzał i... nie mógł wybrać... Oświadczył mi:

— Teraz rozumiem piekielne męki Parysa...

Cała trójka tymczasem pierzchnęła już po wykonaniu kilku ewolucyj i zdaleka tylko zerkała niecierpliwie na wynik wyboru. Każda marzyła o tem, aby móc zatańczyć z tak doskonałym artystą o światowej sławie i tak... pięknym chłopcem...

Lifar po namyśle powiedział nam:

— Już wiem — kogo wybiorę.

Słuchamy z natężeniem...

Odpowiedź pada:

— Wszystkie trzy. Chciałem wykonać tylko jeden duet, a zrobię trzy.

A oto parę słów Lifara o jego parnerkach, wypowiedzianych wobec podpisanego, słów, które najlepiej charakteryzują i oceniają talent trzech artystek.

— Olga Sławska była mi wymarzoną Sylfidą. Tańczyła z uduchowieniem, będącem niezbędnem i nieodzownem uzupełnieniem techniki klasycznej To poetka tańca, a jej subtelna uroda predestynuje ją do sławy wszechświatowej, zresztą już częściowo uzyskanej przez wielkie nagrody na dwóch konkursach międzynarodowych.

Tosia Nowicka, o idealnej dla tancerki wiotkiej postaci i kształtach figurynki z Tanagry, tańczyła jak we śnie i tak właśnie powinno było być. Byłem nią wręcz zachwycony i upojony.

Basia Karczmarewiczówna — to perełka najczystszego klasycyzmu, tradycyjnego i niepokalanego. Jakby miała naprawdę skrzydła u ramion, tak fruwała ze mną w „Błękitnym ptaku“.

Cała trójka dostała na pożegnanie jednakowe fotografje z pięknemi dedykacjami i każda z nich rzekła nam z zachwytem:

— Był to najpiękniejszy wieczór mojego życia... Tańczyłam z Lifarem!!

* * *

Jak trafny i słuszny był sąd Lifara o naszych artystkach, a zwłaszcza o ballerinie Sławskiej mamy świeży dowód, oglądając piękne widowisko baletowe w Teatrze Wielkim w Warszawie. W balecie „Kopelja“ w rolach głównych wystąpili ballerina Karczmarewiczówna i solista Zadejko. Na dalszych przedstawieniach w tych samych rolach ukazali się: ballerina Sławska i baletmistrz Ciepliński. Dobry to pomysł dublowania tych ról przez artystów. Ta druga obsada była o tyle ciekawsza od pierwszej, że Ciepliński wystąpił po raz pierwszy na scenie warszawskiej, jako tancerz charakterystyczny, a Sławska po raz pierwszy zatańczyła główną rolę w balecie i to tak niepospolicie trudną. Debiut Sławskiej był naprawdę szczęśliwy.

Po przedstawieniu docieramy do jej garderoby, prosząc o parę słów wywiadu. Wpierw rozmawiamy z baletmistrzem Cieplińskim, który mówi nam o swej ulubienicy i pupilce:

— Teraz dopiero widzę, że słusznie dwukrotnie triumfowała na konkursach międzynarodowych. Odrazu wyczułem w niej ogromny talent i dlatego zająłem się nią specjalnie. Z całą odpowiedzialnością za moje słowa stwierdzam, że Sławska może się stać „gwiazdą“ na miarę światową. Ma ku temu wszystkie warunki. Gdy wyjadę znów zagranicę, biorę ją ze sobą i obowiązuję się zrobić z niej polską Pawłową czy Karsawinę.

A sama debiutantka? Jeszcze ciężko oddechając po ogromnym wysiłku, mówi:

— Czekałam na taki wieczór od wielu lat... od zarania mojej pracy tanecznej... Miałam ogromną tremę... Od paru nocy okropne sny... Ale teraz zato tyle radości!... Tyle szczęścia! Niema większej rozkoszy, niż taniec i oklaski...

* * *

Napewno myślą tak wszystkie trzy gracje naszego baletu...

H. L.

Basia Karczmarewiczówna.
Fot. Van Dyck — Warszawa.



Tosia Nowicka.
Fot. Van Dyck — Warszawa.



MŁODZIEŃCZA ŚWIEŻOŚĆ NA CAŁE ŻYCIE.

Jest rzeczą dowiedzioną, że stosując systematycznie racjonalne zabiegi kosmetyczne, można do późnej starości wyglądać młodo. Chodzi tylko o to, by znaleźć na to wszystko czas, którym wiele kobiet nie rozporządza.

Przy dobrych jednak chęciach i silnej woli kwadrans dziennie lub redukując do siebie, a wyniki nie będą ulegały wątpliwości.

W jaki sposób wykorzystamy te 15 minut?.... Podajemy cykl zabiegów, które pani zależnie, od swych możliwości zastosuje codziennie, kombinując dwa lub trzy dziennie lub redukując do jednego, ale wykonywanego konsekwentnie wedle podanej kolejności.

A więc: poniedziałek poświęcimy pielęgnacji twarzy. Niech pani obejrzy krytycznie swe oblicze, czy nie ma lekkich zmarszczek pod oczami, na czole, koło ust, i po umyciu twarzy w ciepłej wodzie przetłuszczonem mydłem, nasmaruje te miejsca tłustym kremem, poczem lekko je wymasuje.



Pani przy rannej toalecie przed lustrem.

We wtorek będzie pani dbała, by podbródek się nie zwiększał i nie tworzyły się zmarszczki na szyi. Posmarować podbródek kremem, uderzając zewnętrzną stroną złączonych palców ruchem szybkim i jednostajnym, ale niezbyt mocno, raz prawej, drugi raz lewej ręki (prawa ręka masuje lewą stronę, lewą odwrotnie), tak długo aż tłuszcz zostanie całkowicie wchłonięty. Nałożyć krem powtórnie i wymasować. Po umyciu można jeszcze obandażować owal twarzy na kilkanaście minut Chodzi tu o bardzo korzystne unieruchomienie mięśni na pewien okres czasu.

W środę zajmujemy się pielęgnacją biustu, stosując przez kilku minut ćwiczenia oddechowe i gimnastykę mięśni piersiowych, a wkońcu zmienne natryski ciepłe i zimne. Do obmywań można dodawać na litr wody łyżkę stołową 10 proc. ałunu.

We czwartek naparzając twarz, po uprzednim natłuszczeniu skóry, nad naczyniem z wolno gotującą się wodą przez 6—8 minut. Potem wygnieść wągry specjalną łyżeczkę, którą często trzeba dezynfekować alkoholem. Przetrzeć twarz 1 proc. spirytusem salicylowym, zmieszanym do połowy z wodą. O ile wystarczy czasu można jeszcze obsuwać brwi przy pomocy pincetki.

W piątek pomyśli pani o rękach, zaczynając zabiegi od umycia ich w dobrze ciepłej wodzie przetłuszczonem mydłem. Miejsca zaplamione natrzeć sokiem z cytryny, albo amoniakiem. Na nieco wilgotne ręce nałożyć warstwę tłustego kremu, a wreszcie zrobić manicure, nadając paznokciom owalny kształt przy pomocy pilnika i obsuwając starannie skórki.

Sobota — to dzień gorącej kąpieli (zwyczajną staramy się brać codzień). Przedtem jednak dobrze będzie przetrzepać przez kilka minut dłońmi całe ciało. Po kąpieli energicznie natrzeć skórę rękawicą maczaną w zminej wodzie.

Niedzielę poświęcimy włosom. Najpierw wykonać masaż głowy, który polega na ugniataniu skóry równomiernie i silnie dwoma palcami, rozgarniając włosy, a potem myjąc je we wodzie przetłuszczonem mydłem. Do ostatniej zmiany wody dodać soku cytrynowego lub octu.

Rzecz jasna, że dobór zabiegów, tu wyliczonych, zależeć będzie od indywidualnych potrzeb i warunków. W każdym razie zacznijmy je stosować zaraz bez zwłoki a korzystny wygląd będzie zasłużoną nagrodą. **Mgr. O. W.**

(Dokończenie ze strony 7-mej).

stosownego ciśnienia tlenu już na wysokości 1.500 m. Spadek ciśnienia tlenu działa wybitnie na czynność ważnych dla życia organów i doprowadza do stosownego, nader frapującego nastawienia całego organizmu do nowych warunków w sposób zastanowienia godny.

Jeśli chodzi o pojęcia tu naprowadzone, jak choroba górska i spadek ciśnienia tlenu, to są one zasadniczo bardzo względne. W Azji i Ameryce Południowej pracują ludzie na wysokościach, dochodzących do 4.000 metrów. Już Humboldt pisał o mieszkańcach And w Cerro di Pasco, żyjących na wysokości 4.302 m. W Tybecie spotykamy ludzkie osady na wysokości 4.864 m, a pasterze tych osad ze stadami i psami dochodzą do 5.500 m. To byłaby granica stałego pobytu człowieka na wyżynach. Dzikie owce i kozice wyżyn azjatyckich żyją nawet na wysokości 6.000, a na wysokości 7.000 m obserwowano latające sępy.

Nie wchodząc nawet w pobieżne streszczenie nader ciekawych odkryć fizjologicznych, poczynionych w związku z powyżej cytowanemi zagadnieniami, zaznaczyć należy, że przystosowanie się do życia na wyżynach i *sui generis* odporność organizmu ludzkiego na chorobę górską trwa bardzo długo.

Ludzie, którzy w swej młodości odbywali wysokogórskie wyprawy nawet w późnej starości nie doznają objawów choroby górskiej przy wznoszeniu się balonem czy aeroplanem na bardzo znaczne nieraz wysokości.

Zdobywanie wielkich wysokości pociąga za sobą niebywałe trudy duchowe i fizyczne. Sommerwell opowiada, że na wysokościponad 7.000 m potrzebował na wykonanie jedneko kroku 10 oddechów. Nawet przy bardzo powolnem poruszaniu się musiał po 20 krokach wypoczywać. Na możliwość działania w znacznych wysokościach wpływa ograniczająco stan psychiczny, wywołany niedostatecznym dopływem tlenu do organizmu. Spadek ciśnienia doprowadza człowieka do pewnego rodzaju upicia się. Śmierć narkotyzuje przed zgonem swą ofiarę. Odurzenia psychiczne, obserwowane na wysokich szczytach, są podobne w objawach do zatrucia alkoholem. Ludzie znani z bardzo dobrych manier, ludzie inteligentni stawali się na znacznych wysokościach ordynarnymi, skłonnymi do awantur i bójek.

Stan takiego właśnie „opilstwa" przedstawia wspomniany Tissandiers.

— Na wysokości około 7.500 m... — pisze on — człowiek jest oszołomiony. Nie cierpi żadnych dolegliwości. Wznosi się w górę i cieszy się z tego. Ten błogostan przechodzi potem w nieoczekiwane, gwałtowne omdlenie.

Przy dłuższym braku tlenu choruje wola, opuszcza człowieka zdolność decyzji i pamięć. Ogarnia duszę kompletna apatja.

Mimo tysięcy trudów i niebezpieczeństw, mimo nawet walki z własną ułomną naturą, ze strukturą własnego organizmu, pod nakazem jakiejś wyższej woli twórczej, dąży człowiek na coraz to wyższe wyżyny.

Usiłowaliśmy znaleźć odpowiedź na pytanie: poco? Poco człowiek, uzbrojony w nowe aparaty, zakuty w ubiory ochronne, podobne ubiorom nurków, schodzących na dno morskie, wznosi się stratostatami w sfery, dotąd nawet nieprzeczuwane? Poco konstruuje rakiety i wysila w męce swój mózg, ażeby zbudować statek, któryby go wyniósł między gwiazdy? Poco bada zagadkę życia na wyżynach? Czego szuka poza matką ziemią?

Kto wie! Może to przeczucie nowych, idących czasów każe nam szukać drogi między gwiazdy i przyszłym pokoleniom stawiać drogowskazy na światy inne, lepsze, gościnniejsze od szarej starej ziemi? Może ten pęd podświadomy, nakazujący człowiekowi dążyć nieznużenie ku granicom, u których ponad ziemią zwisają kolorowe draperje polarnej zorzy, jest tylko etapem na drodze, która kiedyś ludzkość przesiedli na inne planety?

Przemawiają za tem różne fakty. Szukamy gorączkowo nowych źródeł energji w rozbijaniu atomów, szukamy nowych motorów o zawrotnej dzielności, wzmagamy chyżość naszych pojazdów i aparatów, precyzujemy metody naszych badań, szukamy nowych kształtów konstruktywnych i nowych konstruktywnych zasad. Wszystko to musi mieć swój cel, który w najbliższym etapie przyjmie konkretną formę, formę pocisku międzygwiezdnego. Może już jutro nowe, ludzkie pokolenie wzniesie się o wiele wyżej ku słońcu, aniżeli my. Może wzniósłszy się ku temu słońcu, będzie czystsze, piękniejsze i lepsze od nas... *SAM.*

HOCKI KLOCKI

Pokój muzyczny.



dawniej...



dziś...

Krzyżówka.

ułożył: St. Godziński — Zgierz.



Poziomo: 1. Rzemieślnik; 7. Część armaty; 11. In. „silny" bez ost. lit.; 12. Jezioro we wsch. Gwatemali; 14. Okres czasu; 16. Działanie przeciw komuś; 17. Zaprawa budowlana a=o wsp.; 18. Nowy tygodnik koncernu „I. K. C."; 20. 2. spółgłoski; 21. In. „zebranie"; 22. Źródłowy bieg Niebieskiego Nilu; 23. Imię biblijne; 25. 3 spółgłoski; 27. 3 lit. słowa „giest"; 28. Starszy kelner wsp.; 29. Bojowy okrzyk fonet.; 30.=25; 31. In. umiera wsp.; 32. Przetwór mleczny wsp.; 33. Napój alkoholowy; 35. Zabezpieczenie otworu wsp.; 37. Zwierzę domowe wsp.; 39. Rzeka kurlandzka; 41. Nazwa wytwórni kosmetyków wsp.; 42. Rzeka w Rosji; 43. „Módl się" w jęz. martwym; 44. Służy do malowania; 47. Liczebnik; 49. 2 lit. słowa „kos"; 50. Miesiąc; 51. Płn. sybiryjska rzeka; 53. Skrót odważnika + g.; 54. Słoń przedhistoryczny wsp.; 56. Szlachetna rasa koni; 58. Miara powierzchni; 59. Litera fonet.; 60. 4 litery słowa „chrom"; 62. Fajka wodna, używana w Indjach; 63. Miasto w Rosji; 67. Nuta; 69. = 18 wsp.; 70. = 20; 71. Miasto w wirtemberskim okręgu Jagst. wsp.; 72. Rodzaj głosu; 73. Zęby; 75. Lekkie chmury, podobne do kłębów wełny; 76. Część aparatu radjowego.

Pionowo: 1. Widz, świadek wsp.; 2. Ryba wsp.; 3. Choroba skóry; 4. Imię żeńskie; 5. Imię królowych; 6. Zderzenie, wypadek; 7. In. zabawa wsp.; 8. Nuta wsp.; 9. Litera fonet.; 10. Bryła lodu wsp.; 11 .Wapień; 13. Kraj w Europie; 15. Środek lokomocji wsp.; 18. Pole walki w starożytnym teatrze; 19. Dzień w tygodniu; 23. Papuga; 24. Stopień w hierarchji duchowieństwa wsp.; 26. Państwo w półn. Afryce wsp.; 34. Wymiar sprawiedliwości; 36. In. „folwark" wsp. o=ó; 37. stuk, hałas wsp.; 38. Łódka, czółno; 40. Miasto w dolnej Bawarji; 42. Ochłapy, odpadki; 45. Rodzaj kotła (bębna) w starogreckiej muzyce; 46. Chiński okręg we wsch. części półwyspu Jutlandzkiego; 48. Czynny, działający; 52. Otacza obraz zdrobniale; 54. Zaimek; 55. In. „posiada"; 57. Wąż; 61. Kajuta, seperatka in.; 63. Zaimek osob.; 64. „Ten" w obcym języku; 65. Rzeka w Polsce; 66. Płasko zbudowany, jednomasztowy żaglowiec, używany na kanałach holenderskich; 68. Imię żeńskie; 70. In. „niedobra"; 73. 2 spółgłoski; 74. = 73.

Czy zgadliście?

Rozwiązanie zadań z N-ru 5 „Asa".

W nrze 5 umieściliśmy kilka zadań, które sprawiły niemało kłopotu naszym Czytelnikom.

Przy rozwiązywaniu zadania szachowego przeważnie padały odpowiedzi, iż gier było 10. Tak jednak nie jest. Gdyby bowiem gier było 10, to przy 3 wygranych i 7 przegranych, jeden z graczy miałby drugiemu do zapłacenia 7 — 3 = 4 złote różnicy. Gier rozegrano 13. Z tych 10 było wygranych, a 3 przegrane, różnica zatem wynosi 7.

Zadanie z miernictwa jest stosunkowo łatwe. Po jednej stronie ulicy stoją 23 latarnie, po drugiej 22. Latarnie w ilości 23, zajmują ulicę od jednego rogu do drugiego. Ilość odstępów między niemi wynosi 22. Ponieważ każdy odstęp wynosi 30 metrów, zatem długość ulicy wynosi 660 metrów.

Jeśli chodzi o małego Jasia, to miał on rację. Dziadek, o którym myślał był ojcem jego matki.

To warto poznać..

NOWE PŁYTY.

Na polskich płytach „His Master's Voice" ukazały się ostatnio wartościowe utwory znanych kompozytorów, w wykonaniu światowych orkiestr symfonicznych. W spisie znajdujemy m. in. „Węgierską rapsodję" nr. 2 część I i II (Liszt) D. 1296, w wykonaniu Wielkiej Symfonicznej Orkiestry Filadelfijskiej pod dyrekcją Leopolda Stokowskiego, „Symfonję klasyczną d-dur" (Prokofiew) D. 1857 i „Miłość do trzech pomarańczy" (Scherzo i marsz) (Prokofiew) — D. 1858. Oba utwory w wykoniu Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej pod dyrekcją Sergjusza Kusewickiego.

Również na polskiej płycie „His Master's Voice" JE 1 znajdujemy „Błękitną rapsodję" Gershwina (część I i II) w wykonaniu sławnej orkiestry Pawła Whitemana.

W 75 lat po pierwszem przedstawieniu opery Stanisława Moniuszki „Hrabina" w Operze Warszawskiej (7 luty 1860), po jubileuszowem, uroczystem przedstawieniu tejże opery w Teatrze Wielkim w Warszawie 7 lutego 1935 nagrano po raz pierwszy w całości uwerturę do tej opery na płytach Syrena. Uwertura wykonaną została przez Wielką Orkiestrę Symfoniczną Opery Warszawskiej pod dyrekcją Olgierda Straszyńskiego. Syrena 8318 i 8319.



Olgierd Straszyński.

Również na płytach Syrena (8320 i 8321) wykonała Orkiestra Symfoniczna Opery Warszawskiej pod dyrekcją O. Straszyńskiego — jeden z najbardziej znanych utworów symfonicznych Stanisława Moniuszki — uwerturę koncertową p. t. „Bajka".

Jedna z czołowych orkiestr jazzowych Londynu — zespół Harry Roy'a nagrał na płycie Odeon doskonały foxtrot „Twelfth Street Rag" (Euday L. Bowman). Najciekawszym fragmentem tego utworu jest solo fortepianowe. Odeon 253762.

(Jot).

NOWE KSIĄŻKI.

Młody, wysoce utalentowany i wnikliwy publicysta, Otmar (Jan Berson) zebrał znów szereg artykułów o Rosji Sowieckiej. Ciekawy zbiór tych artykułów o ostatnich przemianach w Sowietach zatytułowany jest „Minus Moskwa".

Szereg szkiców literackich wybitnego anglisty Wacława Borowego ukaże się w książce „Wczoraj a dziś („Rój").



Tak trudno dziś być prorokiem i wróżyć niektórym sztukom scenicznym dłuższe powodzenie. Publiczność lubi płatać figle. Zwolna mijają czasy, jak to już kilkakrotnie tu zaznaczyliśmy, zamiłowań do lekkiego, błahego repertuaru. Coraz częściej i coraz goręcej publiczność domaga się na scenie utworów głębszych, dających pole do dyskusji, pozwalających na subtelniejsze i silniejsze przeżycia.

Bo nawet jeśli olbrzymiem powodzeniem cieszy się w **Warszawie** „Piękna Helena" Offenbacha, w przeróbce Hemara, idąca już blisko 90 razy zrzędu, to jeszcze jeden dowód, że publiczność domaga się dowcipów intellektualnych, że wykształcona jest klasycznie i dlatego właśnie piękno „Pięknej Heleny" rozumie i odczuwa. Naturalnie, że przyczynia się do tego i świetna gra całego zespołu z Modzelewską, Dymszą, Halamą na czele.

„Maszyna piekielna" Jean Cocteau — to znowu transkrypcja klasycznego mitu o królu Edypie. Jest to — jak określa Boy-Żeleński — „bardzo wyrafinowany, bardzo, jak dawniej się mówiło, „dekadencki", bardzo intelektualny żart sceniczny, ocierający się o tragedję; to zaduma poety, niewahająca się użyć w potrzebie dysonansów parodji. Poeta sięga najbardziej bezceremonjalną ręką, aby wydobyć człowieka zpod skostniałej już skorupy historji lub mitu, bada ich sens nowemi odczynikami; ale to wszystko nie jest zanadto serjo". Schiller dał z „Maszyny piekielnej" jedno z najlepszych przedstawień, a cały zespół z Broniszówną, Lubieńską, Buczyńską, Wiercińskim, Wyrzykowskim, Brydzińskim na czele, odniósł duży sukces.

Ze scen stołecznych skoczmy na chwilę do prowincjonalnych teatrów, by stwierdzić nowy piękny wysiłek **Teatru Ziemi Pomorskiej**, który po „Lygji", osnutej na tle Sienkiewiczowskiego „Quo vadis", dał dobre przedstawienie „Mostu" Szaniawskiego. W **Poznaniu** Teatr Polski gra wesołą farsę „Zmiana dam", przygotowaną przez popularnego komika Szuberta. Teatr Kameralny w **Częstochowie** pokazuje publiczności popularną „Kwiecistą Drogę".

W **Krakowie** bawi na gościnnych występach wielka artystka Wanda Siemaszkowa i jej zawdzięcza publiczność wznowienie „Moralności pani Dulskiej" i „Upiorów".

W arcydziele Zapolskiej, gdzie Siemaszkowa gra tytułową rolę, świetnie spisuje się zespół żeński, zwłaszcza J. Wernicz, E. Jaworska, I. Starkówna. W Ibsenowskich „Upiorach" Siemaszkowa przypomni swą kreację matki, a Oswalda gra Białkowski.

(swb)



Niedziela 7 kwietnia.

G. 12.15: Poranek muzyczny z Filharm. Warsz. Wykonawcy: Ork. Filharm pod dyr. Ozimińskiego i Grażyna Bacewiczówna (skrz.).

14: Melodje operetkowe i ulubione piosenki (płyty).

21.45: Wiadomości sportowe.

22.15: Koncert w wyk. Ork. Symf. P. R. z udziałem Józefa Wolińskiego.

Poniedziałek, 8 kwietnia.

G. 13: Koncert solistów. Wykonawcy: Sabina Szyfmanówna (śpiew), Edwarda Feinsteinówna (fortep.), Tomasz Jaworski (skrz.).

18.45: „Same polonezy..." — muzyka (płyty).

19.30: Wiadomości sportowe ogólnopolskie.

21: Koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry Symf. P. R.

Wtorek, 9 kwietnia.

G. 12.05: Koncert wileńskiej orkiestry kameralnej.

16.30: Opowiadanie dla dzieci młodszych pt. „Mały kawałek wiosny" wygł. Stary Doktór.

17.15: Koncert kameralny w wyk. Kwartetu Smyczkowego Członków Orkiestry Filharmonji Warszawskiej (I-e skrzypce — Mieczysława Fliederbaum, II-gie skrzyp. — Jakób Surowicz, altówka — Paweł Ginzburg, wiolonczela — Bolesław Ginzburg).

19.30: Wiadomości sportowe ogólnopolskie.

20: W pięćdziesięciolecie pierwszego koncertu kompozytorskiego Ignacego Paderewskiego w Warszawie. — Program zawiera wszystkie utwory wykonane na koncercie przed 50 laty.

22.30: „Tradycje i zwyczaje angielskie (feljeton) — wygł. Aleksander Rościszewski.

Środa, 10 kwietnia.

G. 13: Koncert Ork. salonowej Zdzisława Górzyńskiego.

19.30: Wiadomości sportowe ogólnopolskie.

20.00: Melodje z filmów dźwiękowych: „Poszukiwaczki złota", „Julika", „Weronika", „Bal w Savoy'u", „Zuzu".

21: Koncert chopinowski w wyk. Bolesława Kona.

21.40: Koncert laureata I-go Międzynarod. Konkursu skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Warszawie.

Czwartek, 11 kwietnia.

G. 12.30: Szkolny Poranek Muzyczny.

15.45: Koncert Zespolu Adama Hermana.

17.15: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko.

19.30: Wiadomości sportowe ogólnopolskie.

21.00: Transmisja z Teatru „La Scala" w Medjolanie. „Carmen" Opera G. Bizet'a.

Piątek, 12 kwietnia.

G. 12.05: Sekstet Niny Mańskiej. W programie muzyka francuska.

18.10: Teatr Wyobraźni nadaje fragment słuchowiskowy z dramatu K. H. Hoztworowskiego „Judasz", w opracowaniu autora.

19.30: Wiadomości sportowe ogólnopolskie.

21.25: Koncert z Filharmonji Warszawskiej. Wykonawcy: Orkiestra Filharmonji Warsz. pod dyr. Walerjana Bierdjajewa, Zbigniew Drzewiecki (fortepian), Poznański Chór Katedralny (chór chłopców i chór męski) pod dyr. Ks. Dr. W. Gieburowskiego.

Sobota, 13 kwietnia.

G. 14.45: Koncert muzyki lekkiej. Wykonawcy: Zbysław Woźniak (tenor), J. Ławrusiewicz (wibrafon i gitara hawajska), Brün (skrzypce), M. Kostecki (akomp. gitarowy). Kierownictwo muzyczne i akomp. K. Meyerhold.

17.10: Najnowsze nagrania na płytach.

18: „Wesoła audycja dla dzieci".

19.30: Wiadomości sportowe ogólnopolskie.

20.15: Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej. Wykonawcy: Orkiestra Filharmonji Warszawskiej pod dyr. Bruno Waltera i Henryś Szeryng (skrz.). W programie utwory L. van Beethovena.

23.20: Muzyka lekka.

ZAKŁADY GRAFICZNE „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO" W KRAKOWIE POD ZARZĄDEM FELIKSA KORCZYŃSKIEGO.